Rok III. Kwiecień 1918. Nr. 4.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Przygodny: Wobec nowej sytuacyi.

L. Kolankowski: Gdańsk za Rzeczypospolitej polskiej.

R. Rybarski: Wojna a surowce.

X. K. Zimmermann: Germanizacya Wielkopolski przez Polaków w drodze kolonizacyi w XVII i XVIII w.

M. Paciorkiewicz: Życie Montaigne'a.

Notatki.

Sprawozdania.

Prenumerata roczna 24 kor., za półrocze kor. 12. — Cena numeru pojedynczego 2 kor. 50 hal. (2 marki 50 fen.). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Kwiecień 1918. ROK POLSKI Rok III. Nr. 4.

Wobec nowej sytuacyi.

W drugim roku wojny, gdy pokonanie Rosyi i Serbii nie przyniosło rozstrzygnięcia, gdy udział w wojnie wzięły Włochy, a armia angielska we Francyi zaczęła wzrastać w szybkiem tempie, zjawiła się wśród mężów stanu w państwach centralnych idea zawarcia pokoju na zasadzie porozumienia. Idea ta rozszerzała się coraz bardziej, aż swój punkt kulminacyjny znalazła w pamiętnej rezolucyi większości Sejmu Rzeszy z 19 lipca 1917 i w różnych wystąpieniach hr. Czernina. Zdawało się, że ta myśl i wśród przedstawicieli koalicyi utoruje sobie drogę. W tym duchu zaczął występować w Anglii były minister spraw zagranicznych, lord Lawnsdowne, a optymiści i entuzyaści w każdem wystąpieniu Wilsona widzieli jutrzenkę zbliżającego się pokoju. Potężnym czynnikiem jego przyspieszenia zdawała się być Rosya, wyczerpana i grzęznąca w anarchii. Jej usunięcie się z widowni wojny wyjaśniło sytuacyę, ale w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. Pokój na Wschodzie stał się hasłem tem zawziętszej walki na Zachodzie. W Niemczech także i w opinii publicznej, nie tylko w rządzie, wzięły górę żywioły aneksyonistyczne. W polityce zagranicznej Niemiec zaczął coraz więcej ważyć głos Ludendorffa. Hr. Czernin mówił o pokoju, a działał na rzecz dalszej wojny. Inne czynniki, przedtem przemawiające za porozumieniem, skazane zostały na bezsilność. Po przeciwnej zaś stronie Lloyde George wzmocnił swoje stanowisko. G. Clemenceau uzyskał we francuskiej Izbie deputowanych jednomyślne przyjęcie budżetu, a prezydent Wilson rzucił hasło: wojna aż do zwycięstwa i śle setki tysięcy wojsk amerykańskich na zachodni teren walki.

Różnemi przypadkowemi przyczynami można tłómaczyć ten obrót wypadków. Można mówić o niezręczności hr. Czernina, a o zręczności starego Clemenceau. Ten cały skomplikowany bieg wydarzeń dopiero później wszechstronnie wyjaśnią nam dzieje. Jedno jest niewątpliwym faktem. Pożar wojny bynajmniej nie dogasa zwolna, lecz bucha coraz silniejszym płomieniem. Miejsce cichych konferencyi szwajcarskich zajmują walki, w których się poświęca życie setek tysięcy ludzi. Po obu stronach walczących doszła do najwyższego napięcia świadomość, że chodzi tu naprawdę o byt całych narodów, o ich los na czas niezmiernie długi. Wszyscy o tem wiedzą, że albo wygrają i wtedy w chwale i sile wrócą do ognisk domowych, by wkroczyć w nowy okres politycznego rozkwitu, albo przegrają, a wtedy pędzić będą żywot nędzny i nieszczęsny. To też obydwie strony walczące tylko ku zwycięstwu zwracają swe myśli i czyny. Idea połowicznej zgody, idea porozumienia z przeciwnikiem na drodze wzajemnych ustępstw wydaje się im czemś zdrożnem, osłabia tylko wolę do zwycięstwa i przytępia ostrze działań wojennych.

Jest to rzecz, z którą musi się liczyć także i polska polityka, musi ona brać w rachubę rozwój sytuacyi wojenno-politycznej. Nie znaczy to, że polityka nasza powinna być polityką graczy, którzy stawiają na wygranę tej lub innej strony, a w razie gdy ich rachuby okazują się błędnemi, starają się zręcznie przenieść swój udział do konkurencyjnego przedsiębiorstwa. Takie jednak wprost cyniczne pojmowanie naszych zadań politycznych było u nas dość częste i dlatego też warto mu poświęcić trochę uwagi. Są u nas ludzie, których cała polityka opiera się na zasadzie wyzyskania konjunktury wojennej. Należy, ich zdaniem, taki program formułować, jaki ma w danej chwili widoki urzeczywistnienia, i ani o włos poza ten program nie wykraczać. A więc wysuwanie

wszelkich maksymalnych programów jest szkodliwe, gdyż tylko utrudnia uzyskanie tego, co jest aktualne.

Otóż te pojęcia są zupełnie fałszywe. Przedewszystkiem naród musi mieć program, niezależny od losów wojen, program uzyskania niepodległości na całej swojej ziemi. Program ten daje przewodnie podstawy jego polityce. Tylko prawdziwie szeroka, szczera idea narodowa, jest w stanie dokonać pierwszego z zadań polityki narodowej — zespolić duchowo cały naród w jedną całość, wydobyć z niego wszelkie czynne siły, obronić go przed wynarodowieniem. Działalność polityczna, która przezornie chce zapominać o części narodu, jest w istocie rzeczy najmniej przezorną, gdyż sankcyonuje i pogłębia sztuczne podziały, dzieli na wewnątrz naród, już podzielony przez czynniki zewnętrzne. Polityka realna liczy się tylko z siłą. Taką siłę reprezentuje np. naród czeski, i ma wielkie poważanie polityczne pomimo, że niektórzy nasi trzeźwi politycy mówią o czeskim obłędzie. Najważniejszym jest ten fakt, że poza żądaniami czeskiemi stoi cały naród, stoją wszystkie jego warstwy, stoją uświadomione i gotowe do walki o prawa narodowe miliony. A politycy czescy nie osiągnęliby ani w części tego rezultatu, gdyby wyrzekali się swojej idei prawnopaństwowej dlatego, że ona w danej chwili nie ma rzekomo widoków urzeczywistnienia, gdyby szli zawsze po linii najmniejszego oporu. Zadaniem polityki narodowej jest uruchomić przedewszystkiem drzemiące w narodzie siły, jest zespolić wszystkich w jednem pragnieniu i jednej świadomości.

A zresztą ci, którzy wyrzekają się szerszych pragnień politycznych w imieniu narodu, nie znajdą u obcych wiary. Żadnych wyrzeczeń się nikt nie weźmie na seryo, bo każdy wie, że naród nie wyrzeknie się nigdy tego, co stanowi źródło jego życia. Nie podobna też przemilczeć o gorących pragnieniach całych dzielnic, gdy one całą duszą pragną zjednoczenia.

A zresztą, jeżeli już się mówi o uwzględnianiu wojennej konjunktury, to przecież ona wciąż się zmienia i przybiera najbardziej niespodziewane postaci. Czy i my mamy za każdorazową jej zmianą zmieniać program, względnie dać światu widowisko

narodu, podzielonego na tyle obozów, ile jest możliwych rozstrzygnięć wojennych i zadziwić wszystkich bogactwem oryentacyi? Krótko mówiąc, ta idea polityczna, która chce program narodowy oprzeć **wyłącznie** na wojennej konjunkturze, wiedzie na manowce. O zasadniczych dążeniach narodu nie może rozstrzygać spekulacya wojenna, lecz istotna potrzeba narodowa, pragnienie uzyskania niepodległego i zjednoczonego bytu. Obrót wojennych wypadków może co najwyżej wywierać pewien wpływ na **taktykę** polityczną, może określać to lub inne sformułowanie zasadniczej idei i skłaniać do wyzyskania przelotnych korzyści, które dać może przejściowa sytuacya polityczna. Nigdy jednak, za żadną cenę, nie wolno dla tych przelotnych, taktycznych korzyści poświęcać szerszego programu. Nie wolno dla konkretnych, dzielnicowych zdobyczy budować tamy dla urzeczywistnienia idei, która obejmuje wszystkie dzielnice.

Jak jednak wiemy, są u nas ludzie, którzy na czoło swej polityki wysuwają zasadę oportunizmu. Ulubionem ich zdaniem jest, że należy się liczyć z „faktycznym stanem rzeczy“. Możnaby się spierać o to, jaki ten stan faktyczny, ale tego musimy poniechać. Ale możemy się ich zapytać: czy wy liczycie się ze zmianą, która zaszła w ostatnim roku wojny? Czy liczycie się z tem, że prysła bańka mydlana pokoju przez porozumienie, a z całą siłą rządzi hasło wojny do ostateczności?

A z tego stanu rzeczy wynika, że o sprawie polskiej będzie decydowała jedna lub druga strona wojująca. Dość popularnem było u nas zdanie, że pokój na zasadzie porozumienia zawarty doprowadzi do względnie korzystnego załatwienia kwestyi polskiej. Albowiem walczące strony, nie mogąc bezwzględnie przeprowadzić swoich zaborczych planów, na drodze kompromisu pogodzą się co do tego, by zostawić wolność względnie wielkiemu szmatowi polskiej ziemi. W myśl tej tezy, Niemcy są dość silni, by zająć były zabór rosyjski i utrzymać tam swoją okupacyę do końca wojny; ale nie będą na tyle silni by tam osiedlić się na stałe, pod politycznym naciskiem przeciwników będą musiały pozostawić Polskę niezależną. Doktryna ta brała za zasadniczą przesłankę fakt okupacyi przez państwa centralne. Kazała się z nim liczyć, na jego uznaniu budować polską państwowość. Ale pewną rolę wyznaczała także i koalicyi zachodniej, która przy końcu wojny,

jak *Deus ex machina* miała wkraczać w tym celu, by poskramiać zaborczy apetyt okupanta.

Nie da się zaprzeczyć, że to wszystko było dość zręcznie skonstruowane. Ratowano pozory międzynarodowego charakteru sprawy polskiej.

Dzisiaj wyjaśnia i zaostrza się sytuacya. Zamiast nieokreślonych nadziei, zamiast całej skali różnych ewentualności, które może nastręczyć pokój kompromisowy, stajemy wobec wyraźnie zarysowanych dylematów. Trzeba wybierać, trzeba się zdecydować na to, że zwycięska strona rozstrzygnie sprawę polską według swojej myśli. Trzeba się wyrzec nadziei, że ktoś drugi skrępuje swobodę ruchów przeciwnika i z tego współzawodnictwa dwóch stron wyjdzie z korzyścią, jako trzeci przyszłe państwo polskie. Jeżeli się przypuszcza zwycięstwo Niemiec, to w takim razie trzeba pogodzić się z faktem, że Hindenburg i Ludendorff nie ograniczą swoich działań do czysto wojennych spraw, lecz że zainteresują się losem ziemi, na której obydwaj na świat przyszli. Zresztą nie potrzeba mówić o tem jako o rzeczy, która dopiero ma nastąpić.

A więc spytajmy tych, którzy chcą i nadal u nas prowadzić politykę ugodową: czy macie dane, by doprowadzić do ugody, korzystnej dla obydwu stron, z Hindenburgiem i Ludendorffem? Konferencye z Erzbergerem, Naumannem lub Davidem, nie na wiele się zdadzą. Jakkolwiek proponowano na nich rzeczy, dla nas bardzo upokarzające, to odpowiedzialne czynniki pruskie wyparły się nawet samej potrzeby tych konferencyi. Czy jest odpowiedzialny polityk polski, który w tych warunkach doprowadzi do niemiecko-polskiego porozumienia? Wielu uważa się za powołanych do tego, a mało jest wybranych. Nie chcemy przechodzić całej ich galeryi, zaznaczymy tylko, że jeden jedyny z tych polityków, ks. Drucki-Lubecki, przedstawia odpowiednie moralne i duchowe kwalifikacye, by mógł stać się *persona grata* w niemieckim obozie. Wątpić jednak należy, by naród polski poszedł za tym urodzonym swoim przywódcą. Niewielu się znajdzie nawet między

„aktywistami“ takich, którzy pójdą za jego programem, krótko sformułowanym w pruskiej Izbie Panów.

Wewnętrzną pracę polityczną winien prowadzić naród w każdych warunkach, nie ustawać w niej nawet na godzinę. Ale polityka ugodowa na zewnątrz może wtedy się tylko zjawiać, gdy sprzyjają jej polityczne stosunki, gdy druga strona chce i może zawrzeć ugodę na warunkach, możliwych do przyjęcia.

Wtedy najbardziej zapalony aktywista jest skazany na passywizm, musi spokojnie czekać lepszych czasów. Bo albo zwróci się ku tym, którzy mają siłę, ci go odepchną, z czego rodzi się tylko upokorzenie; albo też szuka czynników, które chcą z nim mówić, ale nie mają stanowczego wpływu na bieg rzeczy, a wtedy popada w sytuacyę zarazem i śmieszną i szkodliwą.

Niewątpliwie znajdą się u nas ludzie, którzy będą brnęli w jednym lub drugim kierunku. Poczucie odpowiedzialności za występy wobec obcych u różnych osób, które to występy można policzyć na karb całego narodu, jest u nas dość słabe, i dlatego też wielką jest śmiałość tych polityków. Ale społeczeństwo, które może zbyt łagodnie odnosi się do różnych samozwańczych misyi, podróży, hołdów i deklaracyi, ma jasną świadomość beznadziejności tych wszystkich usiłowań w obecnej sytuacyi. Były u nas grupy polityczne, które przestrzegały przed dyletancką robotą polityczną na berlińskim lub wiedeńskim bruku. Ale wielu ludzi wierzyło w swoje ukryte dotychczas zdolności dyplomatyczne, snuło różowe plany, które rozbijały się szybko o twardy grunt rzeczywistości. W żadnej jednak fazie wojny ta rzeczywistość nie wystąpiła tak wyraźnie, tak wolna od wszelkich mgławic, jak w dobie obecnej. Widzimy jasno, z kim mamy do czynienia. Znamy otwarte już zamysły stron wojujących. Wiemy, jak patrzą na sprawę polską. Wiemy też, że wojna toczy się do upadłego, że zwyciężą albo jedni albo drudzy. Kto chce dziś prowadzić politykę polską po jednej albo drugiej stronie, ten już wie dokładnie, w jakim kierunku swój naród wieść usiłuje. Nie będzie

mógł się zasłaniać nieznajomością stanu rzeczy, gdyż dzisiaj postępuje się z nami zupełnie otwarcie. To też obecnie, w czwartym roku wojny, bardzo ciężką odpowiedzialność biorą na siebie ci, którzy wysuwają się na czoło narodu. Jeżeli pobłądzą, spadnie na nich cały ciężar winy, nic ich nie usprawiedliwi i nie wytłómaczy.

Przygodny.

Gdańsk za Rzeczypospolitej polskiej.

Niezmiernie ciężko jest niewolnym synom i wnukom skonstruować sobie jaki taki obraz duszy wolnych swych ojców i dziadów — niezmiernie trudno jest nam zdać sobie sprawę z uczuć, jakie w duszy pradziadów naszych, wolnych synów Rzeczpospolitej budziły, nie marzeniom tylko, lecz realnym faktom odpowiadające pojęcia: nasze polskie morze — nasz polski port, przesławny ongiś Gdańsk.

Polską bowiem była ta przystań, mimo pozornie niemieckiego charaktera miasta, nietylko z powodu swego naturalnego położenia na nawskróś polskim obszarze naszego Pomorza; polską była ona pod względem geograficznym i pod względem swej przynależności politycznej: polskim był Gdańsk przedewszystkiem jako produkt naszych warunków ekonomiczno-handlowych. On rósł naprawdę polską solą i rolą. Ci, którzy wskazują na przeważnie niemiecki charakter ludności tego miasta, zapominają o tem, że w Rzeczpospolitej polskiej żyli zgodnie obok siebie, jako równorzędni obywatele jednej macierzy, ludzie o różnej przynależności plemiennej — od Polaków poprzez Litwinów, Rusinów, Niemców, Białorusinów aż do Ormian i Tatarów. Gdańsk był polskim portem, mającym w wewnętrznem życiu narodowem głębokie znaczenie, a rola jego dziejowa była najściślej z Polski losami związana. Czas jego największej świetności schodzi się, wcale nie przypadkowo, z okresem naszej największej ekspanzyi mocarstwowej w początkach XVII w., znaczenie jego dziejowe wcale nie przypadkowo ustało z chwilą zniszczenia politycznej Rzeczpospolitej struktury. Polskie były wreszcie jego początki. Już w roku 1000 zapisuje go kronika czeska Kosmasa z polską nazwą Gdańsk jako nadmorski gród graniczny Bolesława W. Chrobrego od strony litewskich Prusów.

Pod tą też starą nazwą polską Gdańsk (Kdanzc), wymieniają go najstarsze bulle papieskie do biskupów kujawskich, do zakresu władzy których Gdańsk zawsze należał. Nazwa niemiecka Danzik pojawia się dopiero w połowie XIII wieku, gdy pomorsko-polski książę Świętopełk pozwolił osiedlać się tu Niemcom, zgodnie zresztą z powszechnym wówczas u nas niemieckim prądem kolonizacyjnym.

Osiedlenie się Niemców w Gdańsku, chociaż nadało miastu przeważnie charakter niemiecki — podkreślam przeważnie, nie całkowicie, gdyż z 4 dzielnic miasta jedna, Rybaki, przez długie jeszcze lata nawskróś polską pozostała — nie zmieniło zresztą charakteru miasta, tak jak przecież i Kraków, mimo, że przez dwa wieki kupcy jego i mieszczanie byli Niemcami i mimo, że do roku 1540 u P. Maryi bywały niemieckie kazania, niemniej przecież był polską, piastowską i jagiellońską stolicą. I Gdańsk więc był przez całe wieki średnie polskim portem w znaczeniu ogólno-państwowem, bo choć przynależał bezpośrednio do książąt naszych pomorskich, od Bolesławowych Gryfitów ród swój wiodących, to jednak podlegał wraz z nimi zwierzchnictwu rządzącego w Krakowie księcia naczelnego. To też po wymarciu książąt pomorskich przeszedł Gdańsk wraz z całą Polską najpierw pod władzę króla Przemysława, po nim należał do rządzących polskimi krajami czeskich Wacławów, po nich do spadkobierców wszystkich Piastów króla Władysława, ojca W. Kazimierza.

Dopiero za Łokietka spotkać miała Gdańsk i Pomorze polskie a przedewszystkiem Polskę katastrofa, która na całą resztę średnich wieków, na 146 lat odcięła nas była od morza — prawdziwe nieszczęście narodowe, polityczne i ekonomiczne: Gdańsk wraz z Pomorzem polskiem stał się w r. 1308 częścią składową niemieckiego państwa nad Bałtykiem, zorganizowanego tam przez wielką średniowieczną komisyę kolonizacyjną zwaną Zakonem Rycerzy Panny Maryi czyli Krzyżakami. Opanowali Gdańsk Krzyżacy zdradą, wpuszczeni do twierdzy naszej jako posiłkujący nas sprzymierzeńcy, opanowali najpierw zamek, w ślad za tem broniące się przed nimi, wierne królowi miasto, poczem wzniósłszy na miejscu dawnego zamku książąt pomorskich potężną fortalicyę, siedzibę swego komtura — osiedli na dobre, zasłonięci formalnie wobec świata nabyciem za 10.000 grzywien rzekomych pretensyi, jakie do Gdańska żywił brandenburski margrabia, Wielki Waldemar. (Już to jest

rzeczą znamienną, że w dziejach Brandenburgii, ba Niemiec całych, tytuł wielki otrzymali ci tylko władcy, którzy na koszt nasz robili zdobycze, poczynając od fundatora Magdeburga Wielkiego Ottona, poprzez Wielkiego Waldemara, Wielkiego Kurfürsta, Wielkiego Fryderyka itd. aż do dni dzisiejszych).

Raz usadowiwszy się w Gdańsku, Krzyżacy usunąć się nie dali; na niczem spełzły wszystkie bojowe wysiłki Łokietka, na nic się nie przydały wytoczone im przed papieżem procesy i uzyskiwane pomyślne wyroki — ujście Wisły było stracone. W tym samym mniej więcej czasie, gdy się Polska zrzekła formalnie swych praw do Śląska, trzeba było także traktatem w Kaliszu z r. 1340 zrzec się i Pomorza z Gdańskiem. Od tego czasu przez lat 100 z górą losy Gdańska złączone były z losami Zakonu. Jest to w dziejach miasta czas zorganizowania się władz miejscowych na zasadzie prawa magdeburskiego według przyjętego w r. 1342 wzoru chełmińskiego, czyli czas wyrobienia się samorządu miejscowego z idącym za tem w parze początkiem gdańskiego handlu. Ten ostatni oparty był, jak u wszystkich niemal nadmorskich miast północnych na przynależności Gdańska do potężnego związku handlowego miast niemieckich z Lubeką na czele, do t. zw. Hanzy; z końcem XIV wieku zajął Gdańsk w związku tym pierwsze miejsce wśród związkowych miast prusko-pomorskich, a nawet przewodniczył hanzeatyckiemu okręgowi złożonemu z Elbląga, Torunia, Chełmna, Bydgoszczy i Królewca. Miarą siły może być fakt, że w r. 1370 zgniótł on duńskiego króla Waldemara (tego samego, który przed laty bywał jako gość u Kazimierza Wielkiego w Krakowie); potem w r. 1395 opanował Sztokholm, zmuszając w ten sposób Danię i Szwecyę do uznania swojego monopolu w handlu bałtyckim. Handel ten, jakkolwiek wtenczas dopiero w początkach, był niezmiernie zyskowny, opierał się bowiem na eksploatowaniu płodów surowych Europy wschodniej. Ruś więc północna, W. Nowogród, Psków drogą przez faktorye w Inflantach, Litwa przez Rygę i Królewiec, a wreszcie cała Polska przez Gdańsk, słały na Zachód swe drzewo, zboże i futra, bogacąc niezmiernie pośredników. Ale pośrednikiem tym był nietylko Gdańsk. Między nim a Polską była do przebycia krzyżacka granica polityczna, a więc i komory celno-handlowe, które pobierając wysokie opłaty, zamykały drogę. A przytem i sam Zakon wydzierał kupcom gdańskim możność zarobku. Sam Zakon bowiem prowadził na wielką skalę

handel, czerpiąc zeń środki potężne dla swego skarbca, o którego nieprzebranych zasobach krążyły formalne legendy. Ten stan politycznego odcięcia Gdańska od swej handlowej podstawy, od Polski, z jednej strony, i na odwrót odcięcie Polski od jej jedynego okna na świat, od Gdańska, sprawiły, że usiłowanie usunięcia z nad ujść Wisły obcej, krzyżackiej państwowości zrodziły się jednocześnie po obu stronach, i w Polsce i w Gdańsku. Gdy więc w roku 1410 król Władysław położył na Grunwaldzkich polach koniec potędze Zakonu, uznał go Gdańsk natychmiast swym władcą przyrodzonym, i zapomógł go znacznie na dalszy bój z Krzyżakami. Wprawdzie w następnym roku srogo przyszło odpokutować zwierzchności miejskiej za tę zdradę wobec Zakonu. Dnia 6 kwietnia 1411 r. komtur krzyżacki zaprosiwszy do siebie rzekomo na ucztę 3 burmistrzów Gdańska, kazał ich ściąć. Ale ta zbrodnia była tylko jednym z tem silniejszych bodźców do wyzwolenia się z krzyżackiej niewoli. Usiłowania Gdańska w tym kierunku, zeszedłszy się ze świadomą wielkiego celu, dostępu do morza ze względów gospodarczych i państwowych, polityką polską, doprowadziły wreszcie do powszechnego buntu przeciw Zakonowi i poddania się w r. 1454 najpierwszych miast, ziemiaństwa i rycerstwa, królowi naszemu Kazimierzowi. Determinacya Gdańska złączenia się z Polską była tak silną, że w ciągu 13-letniej, ciężkiej walki z Zakonem nie cofnęło się miasto przed żadną ofiarą, odgrywając w tej wojnie naprawdę przewodnią rolę. Zdobiące ongiś Gdańsk i Artusowy dwór obrazy mistrzów z wieku XV i XVI, przedstawiające walki Gdańska z Krzyżakami i współudział miasta w zdobyciu Malborga nie były wcale czczą przechwałką. Dość zaznaczyć, że podczas gdy całe Królestwo Polskie z największym wysiłkiem mogło się zdobyć na znaczną na ówczesne czasy sumę 100.000 złotych na wojsko, podczas gdy energiczny król, pozastawiawszy nawet swe srebra stołowe, sięgnąć musiał do sreber kościelnych, by koszta wojny pokryć, Gdańsk sam wydał na te krwawe 13-letnie zapasy z naszym śmiertelnym wrogiem około 1 miliona złotych, stracił około 2 tys. obywateli i 15 tys. zaciężnych. To też nic dziwnego, że wdzięczny król Kazimierz, odbywszy w maju 1457 r., witany entyzyastycznie, wspaniały swój wjazd do nadmorskiej naszej stolicy, dał miastu mocą swej królewskiej władzy, szereg uprawnień i przywilejów, które zrobiły zeń w wiekach następnych prawdziwą królowę Bałtyku. Otrzymał wtedy Gdańsk, mocą tej pierwszej

królewskiej ordynacyi prawo bicia własnej monety, prawo poselstw, prawo sojuszów handlowych i wojennych, prawo sądownictwa handlowego i morskiego. Królowi należało tylko opłacać rocznie, znaczny jak na stosunki koronne, nieznaczny jak na stosunki gdańskie podatek 2000 zł., utrzymywać dlań w pogotowiu pałac, królewskie mieszkanie.

Te przywileje Kazimierzowe, nadające Gdańskowi zupełną swobodę ruchów, stały w związku z otwarciem dla jego handlu i przemysłu całej Polski, Litwy, Rusi, a wkrótce potem nawet Węgier, Mołdawii, a dalej drogi na Śląsk, do Saksonii, Rakus, Czech, podstawą takiego wzrostu i znaczenia, o jakiem marzyć nie mógł przedtem, o jakiem z żalem i goryczą wspominać mógł potem. Nie bezpodstawnie zaiste niemieccy pisarze dziejów Gdańska nazywają czas, od połowy XV w., od odzyskania przez Gdańsk łączności z polską macierzą, aż do utracenia jej z upadkiem Rzeczpospolitej w końcu XVIII w. złotym wiekiem, „*Goldenes Zeitalter*“. Śmiało można wziąć dosłownie to określenie. Bo zaiste przez tych 339 lat, w ciągu których Gdańsk żył Polską a Polska Gdańskiem, przelewało się złoto w Gdańsku, tworząc podwaliny wielkiej prywatnej i publicznej fortuny. Zwłaszcza pierwszy okres łączności Gdańska z Polską, pierwszych lat 200, od połowy XV w. do połowy XVII, do wojen szwedzkich, stanowi w dziejach Gdańska okres nieporównanej świetności. Ludność jego dochodzi do 80 tysięcy w tym czasie, gdy największe miasto w Koronie, Kraków, mogło liczyć maksymalnie 20 tysięcy głów. Miasto przebudowywa i zabudowywa się wspaniale gmachami publicznemi i prywatnemi. Podstawą tego rozwoju było pośrednictwo handlowe między Polską a Europą i przemysł miejscowy.

Pośrednictwo handlowe Gdańska polegało częściowo tylko na wysyłaniu w świat własnymi okrętami surowych płodów Polski. Okrętów własnych, w czasie największego swego rozkwitu, mieli kupcy gdańscy około 150 (wśród nich także okręty krakowskich kupców Morsztynów i Fukierów): *gros* towarów szło w świat na okrętach obcych, angielskich, duńskich, niemieckich, zwłaszcza jednak holenderskich.

Najstarsze księgi celne gdańskie wykazują już w pierwszych latach po odrestaurowaniu łączności Gdańska z Polską, po 600 do 700 okrętów rocznie w powiecie gdańskim, dochodząc w XVI wieku do 1000. W początkach XVII w. przybywało do Gdańska

rocznie około 1200 okrętów, dochodząc w r. 1618 do maksymalnej cyfry 1867.

Okręty te wiozły w świat nasze surowce, przedewszystkiem produkty lasów, drzewo, smołę, potaż, popiół, dziegieć, wańczos. Już w XVI w. dzierżawili kupcy gdańscy lasy w różnych stronach Korony i Litwy, przerabiając je na materyały, spławiane do Gdańska a stamtąd w świat. W w. XVII (1634—1640) sięgnęli nawet daleko na Ukrainę, pod Kaniów i Czerkasy. Szły te przetwory głównie do Anglii. Obok nich wywożono rudy: ołów olkuski i miedź karpacko-węgierską, pozatem len, konopie i skóry. Najgłówniejszym jednak artykułem wywozu było zboże polskie. W czasie największego rozwoju handlu naszym zbożem w XVI i XVII w. wywożono je z Gdańska do Skandynawii, Anglii, Flandryi, Holandyi, Francyi, Hiszpanii a nawet do Włoch (Civita Vecchia, Genua, Wenecya). W dalekich tych wędrówkach po świecie miało zboże polskie dwa punkty odpoczynku: pierwszy tam, skąd wychodziło — spichrze Gdańska; drugi, to potężne magazyny największej w XVII w. giełdy zbożowej na świecie, najpierw w Antwerpii we Flandryi, a potem od czasu zniszczenia Flandryi przez Hiszpanię, w Amsterdamie. W magazynach tamtejszych mieściły się miliony korców polskiego zboża — a wyżywienie większych miast zachodniej Europy w znacznej mierze zawisłem było od dowozu z Polski. To też gdy wskutek stosunków politycznych wywóz z Polski natrafiał na trudności, np. w czasie wojen szwedzkich, zapanowywał w centrach angielskich, holenderskich itd. głód, giełda amsterdamska wykazywała ogromne wahanie kursów. (Tak np. płacono tam w r. 1618 za łaszt żyta 90 zł., w r. 1629 — 250 zł., w r. 1630 — 362 zł.) W tym handlu Gdańsk stanowił pierwsze ognisko. Tu na Motławie dokonywali kupcy gdańscy zakupna zboża, spławianego na własne ryzyko przez polskich producentów, zadowolonych z dobrych cen, jakie według swych kalkulacyi otrzymywali za te produkty. Ceny te jednak były niskiemi w porównaniu z światową ceną targową. I tak np. w r. 1438 łaszt (tj. 60 korcy) pszenicy kosztował w Gdańsku 36 grzywien (czyli za korzec 26 kor.), płacono za nią w Anglii 76 grzywien czyli za korzec 60 kor. Różnica szła do rąk pośredników i na koszt transportu. Wbrew utartemu zdaniu o masach pszenicy polskiej idącej przez Gdańsk, dostarczano z Polski głównie żyta i to w przeciągu 4 wieków, tak w XV jak i XVIII w. Stosunek ilości żyta do ilości

pszenicy był wprost niewspółmiernym. I tak w r. 1490 wywieziono żyta 23.000 ton, jęczmienia 393 ton, pszenicy 311, mąki 40, roślin strączkowych 384, słodu 95. Taki stosunek, obejmujący wogóle około 25 tysięcy ton czyli 30 tys. łasztów zboża utrzymuje się przez całą drugą połowę XV i pierwszą XVI w. W ciągu XVI w. ilość wywożonego zboża wzrasta. Łatwość eksportu zboża, łatwe stąd zyski dla właścicieli sprawiły, że zmienia się gospodarczy wygląd Polski. Właściciele wielkich obszarów gruntu, puszczanych dotychczas chłopom za czynszami dla ich uprawy, odbierają teraz te grunta dla własnej gospodarki. Tworzy się w ten sposób gospodarka folwarczna, dająca możność zwiększonej produkcyi i eksportu zboża. W drugiej połowie XVI w. wywozi się już rocznie z Polski około 50 tys. łasztów, w pierwszej połowie XVII wywóz przekracza 100 łasztów, tj. 6 milionów korcy, dochodząc w 1619 r. do 130.000 łasztów.

Był to czas, gdy ruch handlowy Gdańska przedstawiał $^3/_5$ całego ruchu handlowego na Bałtyku, czas, gdy przez Gdańsk płynęła do Polski struga złota. Ale też tąsamą drogą pieniądz z Polski odpływał. Jeżeli wartość wywożonych od nas towarów około r. 1620 oceniano przeciętnie na 8 mil. zł. rocznie (najwyższa cyfra za r. 1618 — 17,500.000 zł., najniższa 5 milionów), to za przywożone do nas via Gdańsk towary płaciliśmy w tymże czasie koło 10 milionów, czyli przywóz przewyższał znacznie eksport. Zatem bilans gospodarczy Polski ówczesnej nie był tak różowym, jak to sobie wyobrażano. Głównym artykułem przywozu były sukna angielskie i holenderskie, płótna szkockie, sól francuska i niemiecka (rocznie około $5^1/_2$ mil. kg.), żelazo szwedzkie, towary kolonialne i inne zamorskie rzeczy.

Oprócz pośrednictwa w tych „kramnych a zamorskich rzeczach“, szło niemało grosza do Gdańska za wyroby jego miejscowego przemysłu. Gdańscy złotnicy, stolarze, zegarmistrze, ślusarze, snycerze, obok wytwórców gdańskiego piwa i wódek, stanowili dla Rzeczpospolitej poważne źródło dostawców. Toteż nic dziwnego, że z czasem stali się mieszczanie gdańscy także i dostawcami kredytu dla naszych królów. Już Zygmunt August pożyczał od nich poważne sumy na zastaw swych koronnych i litewskich ekonomii. Samo zaś miasto, wolne od wszelkich ciężarów rosło w niezmierne bogactwa i mogło bez żadnego poważniejszego uszczerbku zapłacić czy to 200 tys. Batoremu kosztów jego ekspedycyi, czy złożyć

800.000 Władysławowi IV za to, że nie podwyższono należytości portowej, tak zw. palowego, niosącego rocznie przeciętnie 90 tys. złotych. Jaka to była kwota zrozumiemy, gdy powiemy, że cały współczesny budżet polski w dochodach swych wynosił mniej-więcej 200 tys. złotych, a mało co przedtem w połowie XVI w. dochodził maksymalnie do 80 tys. zł. rocznie.

Nie dziwna więc, że ze strony królów naszych, odczuwających dotkliwie niezasobność naszego skarbu, patrzono pożądliwie na zasoby i dochody Gdańska i że raz po raz czynione były z ich strony próby złamania nieograniczonej autonomii miasta i złączenia go silniej z Rzeczpospolitą. Usiłowania te zjawiają się za Zygmunta Starego, istnieją za Zygmunta Augusta i Batorego, odnawiają się za Władysława IV. Nie udały się one z wielu powodów, ale głównie dlatego, że sama szlachta koronna sprzyjała swobodom Gdańska, dopatrując się w nich gwarancyi nie krępowania spokojnej i wolnej od ceł i opłat cyrkulacyi handlowej. To opieranie się wejściu w ściślejszy kontakt z Rzeczpospolitą nie oznaczało zresztą bynajmniej, jakoby Gdańsk kiedykolwiek sprzeciwiał się polskiej państwowości. Śmiało możemy stwierdzić, że oprócz Lwowa nie było na przestrzeni Rzeczpospolitej drugiego grodu, któryby tak wytrwale i z takim nakładem sił i pieniędzy bronił swej wierności dla króla i Rzeczpospolitej, jak Gdańsk. Okazało się to już w czasie pierwszej wojny szwedzkiej, kiedy pogromca Niemiec, Gustaw Adolf, wkroczywszy do królewskich polskich Prus, daremnie przez 3 lata kusił się o Gdańsk. Miasto, poniósłszy milionowe szkody obroniło się, uzyskując od wdzięcznego sejmu polskiego w nagrodę opust 500.000 talarów z przyszłych podatków.

Taksamo w trzydzieści lat później oparł się Gdańsk Karolowi X, w 40 lat później stanął po stronie wybranego przez cały naród królem francuskiego ks. Conti, a po śmierci Augusta II oświadczywszy się z całym narodem polskim za Stanisławem Leszczyńskim, wytrzymał Gdańsk bohatersko ciężkie 4 miesięczne oblężenie wojsk moskiewskich i saskich, z którego wyszedł z 7 milionami kosztów i 1800 zburzonymi domami.

Wszystkie te walki i zamieszki podkopały były znacznie jego stanowisko jako głównego emporyum nadbałtyckiego. Ruch handlowy doznając przeszkód u brzegów Polski, kierować się począł w głąb Bałtyku, ku brzegom rosyjskim; tańszy rynek surowców

rosyjskich zastąpił wkrótce w Europie rynek polski. Eksport gdański podupadł znacznie, ale zawsze jeszcze miasto cieszyło się wielkiemi perspektywami na spokojniejsze czasy, na lepszą przyszłość, zawsze jeszcze święciło uroczyście i biło złote kunsztowne medale na setne rocznice wyzwolenia z pod krzyżackiego jarzma — (tak w r. 1654, jak w r. 1754).

Aż przyszły czasy upadku naszej macierzy, czasy pierwszego rozbioru. Polskie Pomorze zagarnął Fryderyk Wielki, jeden Gdańsk z Toruniem zostały przy Polsce, ścieśnione zewsząd i otoczone, jak za Krzyżaków, komorami celnemi pruskiemi, pobierającemi wysokie, bo do 12% wartości towarów dochodzące cła. Prusy chciały przez te ciężary zmusić Gdańsk do żądania złączenia ze sobą. Ale wszystkie represye nie zdały się na nic. Przeciwnie, w miarę im bardziej zbliżała się chwila, w której król Prus miał stać się panem Gdańska, tem potężniejsza determinacya ogarniała mieszczaństwo, od senatorów aż do pospólstwa, by nie poddać się temu dobrowolnie. To też podobnie jak przed 100 z górą laty wschodnio-pruski Królewiec podnosił czynny protest przeciw Wielkiemu Elektorowi, gdy odcinano go od łączności z Rzeczpospolitą, tak i obecnie, gdy do przesławnego portu polskiego dnia 4 kwietnia 1793 r. wkraczał generał pruski Raumer na czele pruskich grenadyerów, znalazł na ulicach barykady, które z trudem trzeba było dopiero zdobywać. Bronił Gdańsk swej wolności, bronił swej wielkiej przeszłości, bronił może i lepszej przyszłości, walczył, bo czuł, że odcięty od swej naturalnej podstawy, spada w obrębie Prus do rzędu prowincyonalnego miasta, jakich w Niemczech są setki.

W Polsce odczuto bardzo doleśnie utratę Gdańska, przed którą broniono się do upadłego, zrozumiano dobrze utratę dostępu do morza. Ale nie tracono nigdy nadziei, jak świadczy Sędzia w „Panu Tadeuszu“, że

„miasto Gdańsk niegdyś nasze
będzie znowu nasze“.

L. Kolankowski.

Wojna a surowce.

„Pokój, który Niemcy zawrą, musi być przedewszystkiem pokojem gospodarczym". Tak oświadczył niedawno były wicekanclerz Niemiec Helfferich, obarczony dzisiaj obowiązkiem przygotowywania przyszłych traktatów pokojowych i uregulowania powojennych stosunków gospodarczych. Helferich jest bliskim duszą aneksyonistycznym zapędom, ale nie upaja się tymczasowemi aneksyami, poczynionemi na Wschodzie, natomiast zdaje sobie sprawę z tego, że innych jeszcze rzeczy potrzeba, by można mówić o zwycięstwie Niemiec. Rzecz się tak przedstawia: jeżeli Niemcy nie uzyskają od krajów koalicyi zachodniej i Stanów Zjednoczonych wielkich ustępstw natury gospodarczo-handlowej, jeżeli koalicya poprowadzi po wojnie dzisiejszej wojnę gospodarczą, to Niemcy wyjdą pokonani, choćby uzyskali na trwałe zdobycze terytoryalne w Europie. „*Mitteleuropa*" jest bardzo kiepskim surogatem szkód, które może wyrządzić Niemcom uporczywa zawiść handlowa całego świata.

W ciężkich, wytrwałych wysiłkach zdobywały sobie Niemcy swoje gospodarcze stanowisko. Przez kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt lat, pracowały nad tem, by rozwinąć u siebie przemysł, zdolny do zdobywania rynków zagranicznych. Do tego celu dostosowały całą swoją politykę gospodarczą. Zdecydowały się na to, by dać przewagę przemysłowi w swojem wewnętrznem życiu, by swój rozwój gospodarczy oprzeć na zależności od zagranicznego dowozu. Osiągnęły też wspaniałe wyniki. Pod względem ilościowym handel zagraniczny Niemiec pozostawał w tyle tylko za handlem Wielkiej Brytanii, zamierzając i jej wydrzeć pierwszeństwo w niedalekiej przyszłości. Pod względem jakościowym nie-

miecka wytwórczość w niektórych gałęziach, np. w przemyśle farbiarskim, elektrotechnicznym i t. d. zdobyła sobie niezaprzeczony monopol, w wielu gałęziach pobijała taniością wszystkich współzawodników. Wybuch wojny przegrodził Niemcy od zamorskich rynków. Z początku nie troszczono się wiele o to, w nadziei, że rychłe zwycięstwo wynagrodzi wszelkie straty i otworzy gościnnie dostęp do wszystkich rynków. Ale nie było zwycięstwa, a wojna zaczęła się przeciągać. W drugim, trzecim roku wojny zaczęła niemieckich eksporterów przygniatać ciężka troska o losy handlu zamorskiego. Z odcięcia niemieckiego dowozu skorzystały Anglia, Stany Zjednoczone, Japonia, i podzieliły się gruntownie spadkiem po Niemczech. Gospodarczą konkurencyę ułatwił im stały wzrost nienawiści ku Niemcom. W przeciągu miesięcy przechodziły w obce ręce placówki handlowe, które się zdobywało przez długie lat dziesiątki. Nawet kraje neutralne, które chciałyby sprowadzić niejeden wytwór niemieckiego przemysłu, stanowiący poniekąd jego monopol, musiały z tego zrezygnować, gdyż rozwój przemysłu wojennego okazał się zachłannym i ograniczył produkcyę towarów, nie mających wewnętrznego, wojskowego znaczenia. W ten sposób przewlekła wojna i tym razem, jak wielokrotnie przedtem, stała się w różnych krajach wychowawczynią nowych przemysłów w krajach, w których one przedtem nie miały warunków bytu. Ale doświadczenie wskazuje, że jakkolwiek te przedsiębiorstwa powstały dla potrzeb wojennych, nie mają ochoty zniknąć po zakończeniu wojny. W ten sposób dla niemieckiej wytwórczości wyrośli nowi konkurenci. Liczba ich wzrasta z każdym rokiem wojny, a dawniejsi konkurenci Niemiec coraz bardziej wzmacniają swój stan posiadania, rozrosły ich kosztem.

To wszystko mogło wydawać się drugorzędną troską dopóty, dopóki można było przypuszczać, że przemysł niemiecki, natychmiast po zakończonej wojnie, rzuci się z właściwą mu energią do zdobycia dawnych i nowych rynków.

Wystarczy przytoczyć następujące cyfry, by zdać sobie sprawę ze struktury gospodarczej Niemiec. W roku 1912 wynosił przywóz surowców do Niemiec 4823 mil. marek, wywóz surowców 1382 miliony; w r. 1913 przywóz 5003 mil. marek, wywóz 1518 mil. marek. Odwrotne cyfry wykazuje przywóz i wywóz gotowych fabrykatów.

A więc możemy powiedzieć: Niemcy przywożą obce surowce przemysłowe a wywożą je w postaci gotowych fabrykatów. To jest podstawa ich stanowiska w gospodarstwie światowem, źródło zarobku wielkich mas ludności, czynnik stałego wzrostu ich narodowego bogactwa.

Tak więc zapotrzebowanie surowca po wojnie będzie olbrzymie, zarówno o ile chodzi o artykuły konsumcyi szerokich warstw ludności, jak i o kapitał zakładowy i obrotowy przedsiębiorstw przemysłowych. Widzimy na każdym kroku, jak wielkie kroki pod względem elementarnego zaopatrzenia wywołuje wojna, i jak one w każdej gałęzi zwiększają się z miesiąca na miesiąc.

Przy bliższem wejrzeniu w handel zewnętrzny Niemiec zauważymy, że najważniejsze i najliczniej sprowadzane surowce pochodzą z posiadłości najzawziętszych dzisiejszych wrogów Nie-

miec. Przypatrzmy się podstawom przemysłu tekstylnego, jednego z najważniejszych. Otóż Niemcy sprowadziły w r. 1912 za 579 milionów marek bawełny, w r. 1913 za 607 milionów. Na tę sumę złożyły się w wysokości ponad 460 milionów Stany Zjednoczone, Egipt w wysokości około 70 milionów, Indye angielskie ponad 58 milionów. Prawie cała juta, której import w r. 1913 wynosił 94 miliony marek wartości, pochodzi z Indyi angielskich. Główny gatunek wełny, zużywany w Niemczech (wełna z merynosów), importowano w ostatnich latach w wartości ponad 200 milionów; ogromna większość tego importu przypada na Australię, około jednej czwartej na posiadłości brytyjskie w Afryce południowej. Jedwabiu surowego sprowadziły Niemcy w r. 1912 za 143 milionów, w r. 1913 za 154 mil. marek, w tem za 105 względnie za 110 mil. marek z Włoch. Podobne stosunki wykazuje import innych surowców przemysłu tekstylnego.

Skierujmy naszą uwagę ku przemysłowi, przerabiającemu metale. Rudy żelaznej mają Niemcy dość dużo, wielkie jej masy mogą sprowadzać z krajów sąsiednich, zwłaszcza ze Szwecyi. Zresztą głód surowca w tej dziedzinie można przez długi czas zaspakajać przerabianiem starego żelaza, tak, że pod tym względem nie ma wielkich obaw.

W r. 1913 sprowadziły Niemcy miedzi za 335 milionów marek. Z tego na Stany Zjednoczone przypada 294 miliony, na Australię około 20 milionów. Podobnie ze Stanów Zjednoczonych przeważnie sprowadza się nikiel, i wiele innych materyałów, niezbędnych dla puszczenia w ruch przemysłu metalowego. Ruda cynkowa, której import dochodził w ostatnich latach przed wojną do 40 mil. marek wartości, przychodzi w połowie z Australii; cyny w r. 1913 sprowadzono za 42 mil. marek, w tem za 36 milionów z Boliwii.

Przytoczmy jeszcze kilka przykładów z innych dziedzin, a wszystkie one wykazują tensam stan rzeczy. Fosforanu wapna sprowadzono w r. 1913 za 46 mil. marek, z tego za 21 milionów ze Stanów Zjedn., reszta z Tunisu, Algieru i innych krajów. W imporcie skór wołowych, wynoszącym w 1913 r. 139 milionów wartości, pierwsze miejsce zajmują Indye angielskie, drugie Chiny, trzecie Argentyna, czwarte Brazylia. Skór do wyrobu futer sprowadzono w r. 1913 za 121 milionów, z tego przeważną część ze

Stanów Zjednoczonych. Saletry z Chile za 171 milionów marek. Chlorku potasowego za 58 milionów, w tem ze Stanów za 36 milionów. W imporcie kauczuku, który w r. 1912 wynosił 162 milionów wartości, a w r. 1913 — 125, pierwsze miejsce przypada Brazylii, drugie Indyom angielskim.

Ze stanowiska czystej doktryny liberalnej możnaby uznać za bezcelowe wykazywanie, że Niemcy są zawisłe od swoich wrogów co do importu surowca. Według niej Niemcy kupują surowce, a płacą krajom, które dziś składają wrogą im koalicyę, gotowymi fabrykatami. Jedni i drudzy mają, według tej doktryny, czysty interes w tem, by natychmiast po wojnie jak najżywiej nawiązać przerwane stosunki handlowe. Bojkot gospodarczy jest według niej nonsensem, który nie utrzyma się w praktyce. Otóż możnaby się powoływać na tę doktrynę, gdyby nie ta okoliczność, że posiadacze surowców będą po wojnie, i to przez długi czas, zajmowali stanowisko monopolistów. Otóż taki monopolista nie musi sprzedawać każdemu, kto się do niego zgłasza, może dyktować ceny, może dowolnie wybierać między odbiorcami, dawać jednym pierwszeństwo nad drugimi dla pozagospodarczych względów, nie ponosząc na tem żadnej straty. I widzimy, że państwa koalicyjne zamierzają skorzystać ze swojego uprzywilejowanego stanowiska.

Przez długi czas idea wojny gospodarczej po wojnie napotykała na opór w krajach anglosaksońskich, mocno przesiąkniętych doktryną liberalną. Oświadczył się pierwotnie przeciwko niej prezydent Wilson. Ale z czasem zmienił swoje stanowisko. W jednem z ostatnich orędzi wyraził pogląd, że pierwszeństwo w zaopatrzeniu w surowiec muszą otrzymać przyjaciele koalicyi. Formuła ta jest tylko dyskretnym wyrazem uznania bojkotu gospodarczego Niemiec po wojnie. Dać coś przyjaciołom, to znaczy nie dawać tego wrogom. A jeszcze bardziej charakterystyczne jest stanowisko rządu angielskiego. Rząd ten, w znacznej części złożony z liberałów, wniósł przed kilku miesiącami do Izby gmin projekt ustawy w sprawie „nieżelaznych metali“; projekt ten streszcza się w upaństwowieniu na lat kilka po wojnie międzynarodowego obrotu całym szeregiem surowców, szczególnie doniosłych dla odbudowy przemysłu po wojnie. Rząd stara się poddać kontroli produkcyę i handel tymi surowcami, a to w tym celu, by módz uczynić z tego obrotu narzędzie politycznej walki z przeciwnikami koalicyi. Planowa działalność tych państw wciąga w swoje wysiłki coraz to nowych

uczestników. Pod tym względem skierowanie przeciw Niemcom Ameryki Południowej ma wprost olbrzymie znaczenie. Niemcy rzucili tam wiele kapitałów, i stamtąd ciągnęli wiele surowców. Obecnie południowo-amerykańskie republiki uczestniczą w przygotowywaniu blokady surowcowej Niemiec po wojnie.

Wogóle widzimy na każdym kroku przygotowawczą działalnośc koalicyi, która licząc się z powojennym brakiem surowców, stara się obecnie zabezpieczyć ich dostawę dla siebie, względnie grozi Niemcom zupełnem odcięciem ich dowozu. Groźby te wypowiada się przy wielu sposobnościach. Zachodzi pytanie, czy te groźby nie straciły ostrza przez otwarcie granicy wschodniej, to znaczy przez pokonanie Rosyi? Najpierw wchodzi tu w rachubę twór traktatów brzeskich, Ukraina. Rozwiały się złudzenia, jakoby ona mogła dać wiele w najbliższej przyszłości. Pozostaje nadzieja na powojenne zyski. Otóż Ukraina, najszerzej pojęta, poza produkcyą rolną, posiada rudę żelazną i węgiel kamienny. Dla Niemiec ze względu na wielką odległość i brak dogodnych komunikacyi te artykuły nie przedstawiają większego znaczenia, tem bardziej, że co do zaopatrzenia w nie sytuacya w Niemczech przedstawia się stosunkowo pomyślnie. Natomiast tych surowców, których najbardziej potrzeba, Ukraina nie jest w stanie dostarczyć. Potrzeba więc zwrócić się ku Rosyi. Istotnie, im bardziej posuwamy się na wschód, tem obfitsze znajdujemy zasoby naturalne. Ale wszechstronna eksploatacya kraju wymaga bardzo długiego czasu, a produkcyi bawełny turkiestańskiej niepodobna zwiększyć w przeciągu kilku lat do tego stopnia, by ona mogła pokryć lwią część niemieckiego zapotrzebowania. Trzeba tu ściśle odróżnić warunki przyrodnicze od ekonomicznych możliwości eksploatacyi. Ziemia może kryć w swojem łonie ogromne skarby, ale to nie przedstawia jeszcze na razie większej gospodarczej doniosłości — czy to ze względu na przeszkody komunikacyjne, czy to z uwagi na brak robotnika lub nieustalony ustrój polityczny. W krajach półdzikich jeszcze, niedostępnych, trudno jest w okresie kilku lat zorganizować produkcyę, któraby mogła zastąpić dowóz surowca z ustalonych jego źródeł. Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

Zresztą przewidujący mężowie stanu nie mogą zbyt wiele budować na tak grząskim gruncie, jakim jest Rosya, nie mogą łudzić się mirażami Uralu, Syberyi lub Turkiestanu. Nie

pozostaje nic innego Niemcom, jeżeli chcą naprawdę zwyciężyć, jak zwyciężyć koalicyę do tego stopnia, by ta musiała porzucić swoje bojkotowe plany. Skłonić zaś państwa zachodnie i amerykańskie rzeczpospolite do tego, by one dostarczyły potrzebnego Niemcom surowca, to znaczy nałożyć na tamte państwa pewnego rodzaju kontrybucyę. Innemi słowy, trzeba tu odnieść druzgocące zwycięstwo. W przeciwnym razie nie rozwiąże się pomyślnie kwestyi surowca, która ma wprost pierwszorzędną doniosłość.

Przenieśmy się myślą ku naszym stosunkom. I my będziemy mieli „głód surowca“ — może nawet dotkliwszy, niż inne kraje. Przemysł bardziej u nas, niż gdziekolwiek zniszczony.

Brak wszystkiego: zabudowań, maszyn, narzędzi, surowca, robotnika, ustalonych rynków zbytu, kapitału zakładowego i obrotowego.

W dodatku po wojnie nasza wytwórczość przemysłowa znajdzie się wobec zupełnie nowych warunków, do których będzie się musiała szybko przystosować. Pierwszorzędne oczywiście znaczenie ma kwestya surowca. Już przed wojną w całej pełni rodzimą podstawą przemysłu naszego był tylko tani robotnik, surowce trzeba było sprowadzać z zagranicy. Brakło rudy żelaznej w dostatecznej ilości, a raczej jakości, brakło innych metali, brakło bawełny i wełny i innych artykułów. Jeżeli tych wszystkich artykułów nie zdołamy ściągnąć do kraju w dostatecznej ilości i po odpowiedniej cenie, grozi nam okres ciężkich przesileń gospodarczych, które mogą rozprószyć po świecie naszą ludność robotniczą.

Dzisiaj do końca wojny jeszcze daleko i niepodobna pod tym względem formułować zbyt konkretnych przewidywań. Ale możemy już dzisiaj zdawać sobie sprawę z doniosłości zaopatrzenia w surowiec, a przedewszystkiem musimy pamiętać o tem, że kwestya surowca jest w bardzo silnym stopniu kwestyą polityczną i przedewszystkiem na drodze politycznych zabiegów trzeba ją rozstrzygać. Nie trzeba sobie wyobrażać, że cały świat ochoczo będzie znosił nam potrzebne surowce, bez wielkich starań z naszej strony. Nie możemy przedewszystkiem już teraz zaciągać jakichkolwiek zobowiązań polityczno-gospodarczych, które mogłyby nas odciąć od właściwych rynków, na których czegoś można nabyć, a które

z Polski mogą zrobić bierny rynek zbytu dla obcej produkcyi. Mówi się u nas wiele o realnej polityce, o praktycznem budowaniu państwowości polskiej. Czy liczenie się z tem, skąd państwo polskie może uzyskać niezbędne dla niego surowce, nie jest realnem przewidywaniem?

R. Rybarski.

Germanizacya Wielkopolski przez Polaków w drodze kolonizacyi w XVII i XVIII w.

Polska rozpoczęła kolonizacyę powtórną (po epoce piastowskiej) za pomocą chłopów niemieckich w obszernym zakresie już w wieku XVI i uprawiała ją bardzo gorliwie w wieku XVII i XVIII [1]).

Z wielkiej emigracyi niemieckich chłopów, ściąganych do Wielkopolski w wieku XIII przez klasztory (mianowicie Cystersów) biskupstwa i szlachtę, po paru wiekach nie zostało pod względem narodowościowym śladu. Na to się zgadzają polscy jak i niemieccy autorowie, Stało się to zaś mianowicie od czasu, kiedy w wieku XV i XVI (pod przewodnictwem Jana Ostroroga) obudziła się i szerzyła w Wielkopolsce reakcya przeciw wszystkiemu, co niemieckie. Szczególnie wielkie znaczenie miało spolszczenie klasztorów, zwłaszcza Cystersów i Benedyktynów, których poddani polscy lub spolszczeni tem silniejszy opór później stawili wobec kolonistów Niemców i protestantów.

Początek powtórnej kolonizacyi uczynił Gdańsk, osadzając wobec regularnie się powtarzających wylewów Wisły w roku 1540 Holendrów, obeznanych z sypaniem tam, pompowaniem wody i osuszaniem moczarów. Niebawem naśladowały Gdańsk inne miasta, oraz starostowie i szlachta w rozmaitych okolicach Prus

---

[1]) Tak twierdzić należy wbrew zdaniu rozpowszechnionemu w literaturze polskiej, jakoby kolonizacya ta była nieznaczna. Burzyński Piotr powiada w swojem dziele: Prawo Polskie prywatne. (I. Cudzoziemcy). Do krajowców należy jeszcze policzyć Olędrów, t. j. osadników wiejskich z Holandyi do nas przybyłych. Bardzo mała ich liczba (str. 475). Komornicki (Zabory, str. 113) twierdzi, że imigracya Niemców do Polski stanowiła odosobnione wypadki, które się z wyjątkiem Bambrów odnosiły prawie wyłącznie do ludności miejskiej.

Królewskich. Wedle obliczeń Schmidta [1]), opartych na badaniach archiwów miejskich w Gdańsku i Toruniu, dalej Maerckera i Frölicha oraz Hartwiga [2]), było już w roku 1577, gdy Stefan Batory z wojskiem swem obozem leżał pod Gdańskiem, co najmniej dwadzieścia zaludnionych nimi miejscowości. Tam pod Gdańskiem zapoznała się z nimi polska szlachta, o nich dobrze pamiętano, skoro w roku 1578 po raz pierwszy sejm się nimi zajął [3]) a następne sejmy opodatkowania ich nie spuszczały już z oka [4]). Po zdobyciu zaś Inflant wydał Stefan Batory w Niepołomicach dn. 29 stycznia 1582 edykt: *Literae concessionis Coloniae Generalis in Livonia* — w którym określił warunki kolonizacyi. W dalszym ciągu osiedlano Holendrów w późniejszym obwodzie bydgoskim za pośrednictwem obywateli Torunia (Przyłubie, roku 1593) i Bydgoszczy (Salwin, roku 1605), którzy werbowali Holendrów. W te ślady poszła w Wielkopolsce szlachta, starostowie i część duchowieństwa, dając temsamem innym przykład. Dla tych względów gospodarczych złagodziła kapituła gnieźnieńska nawet względy wyznaniowe. Upomina ona bowiem arcybiskupa Wojciecha II Baranowskiego r. 1611 (decret. Capit. Gnesn. X, 229 b, 230 [5]), aby nareszcie kolonie Holendrów w kluczu uniejowskim zakładał na podstawie przepisanych przez kapitułę zasad i warunków. (W tych *conditiones in locatione Hollandorum impositae* zagwarantowano im swobodę pod względem religijnym; publiczne jedynie objawy ich wyznania są zakazane. Taksamo mogą używać mięsa w posty, byle prywatnie to się działo, bez zgorszenia katolików). Powstała wówczas znaczniejsza ilość tych osad na obszarach dzisiejszego Wielkiego Ks. Poznańskiego skoro Schmidt (na mocy badań dokonanych w archiwum państwowem w Poznaniu) wylicza nazwy 40 osad wraz z rozmaitymi szczegółami osiedlenia [6]).

Wielka część pierwszych osadników ma imiona i nazwiska holenderskie, ale nie wszyscy, później pod nazwą olędrów osiedli w Polsce imigranci, pochodzili z Holandyi, przybyli też i Niemcy,

---

[1]) Geschichte d. Deutschtums, str. 313.

[2]) Geographische und historische Landesbeschreibung derer dreyen in Pohlnisch Preussen liegende Werdern etc., Königsberg 1722.

[3]) Vol. leg. II, 985.

[4]) Vol. leg. II, 996, (1580), 1026 (1581), 1302 (1589), i t. d.

[5]) Korytkowski, Arcyb. gnieźnieńscy III, 613.

[6]) Schmidt, l. c. 320—324.

również przed prześladowaniem religijnem uchodzący. Holenderstwo nie wskazuje na pochodzenie, lecz raczej na zajęcie, zawód: osuszanie błot i podniesienie kultury rolnej i chów poprawiony bydła [1]).

Na każdym jednak kroku tej kolonizacyi widać wielkie uwzględnienie właściwości przybyszów w dziedzinie narodowościowej i wyznaniowej.

Walkierz toruńskiej wsi Szylna 1562, ustanawiał, że „obejmujący gospodarstwo miał być Niemcem, który ma holenderski zwyczaj i obyczaj". Jeśli Holender jaki oddawał gospodarstwo Polakowi, musiał zapłacić do kasy gminnej 10 zł. kary.

„Wolno im jest wykonywać nabożeństwa na swój sposób oraz utrzymywać nauczyciela (duchownego) na własny koszt", to zdanie powtarza się we wszystkich dokumentach [2]).

Równocześnie w końcu XVI i z początkiem XVII wieku nastąpiła dalsza wielka emigracya z Marchii brandenburskiej i z Pomorza do Polski. Już 1583 r. skarżą się wasale powiatów graniczących z Polską elektorowi Janowi Jerzemu, że ich poddani bez ich wiedzy i woli, zabierając cały martwy i żywy inwentarz, przenoszą się do Polski. Fakt ten potwierdzili urzędnicy brandenburscy, wskazując na niebezpieczeństwo opustoszenia całych wsi [3]). Schmidt przytacza znalezione w archiwum berlińskiem pismo elektora z dnia 27 II. 1584 datowane z Kolonii nad Sprewą, a wystosowane do Górki i innych wojewodów Wielkopolski z prośbą o zwrot zbie-

---

[1]) Przeważające pastewne gospodarstwo Holendrów daje nam dobry środek do ręki przy badaniach źródeł niemieckich, aby uniknąć pomyłek pomiędzy Holendrami a tak zw. Hauländer i Hauländereien. „Hauländereien" nazywali Niemcy grunta, które chłopom nadawano celem ich wykarczowania, „Hauländer" ich właścicieli. W języku ludu niemieckiego a nawet w języku urzędowym już wówczas od XVII wieku począwszy, mieszano: Hauländer i Holländer. Sposób powyższy gospodarowania Holendrów wykazuje, iż na rzeczywistych „Hauländereien" tj. nowinach nigdy nie mogli byli siedzieć Holendrzy. Jeśli więc spotyka się w XVII i XVIII w. w Prusiech Królewskich i Wielkopolsce nazwy „Holländer" i „Hauländer", wtedy badania nad danemi im gruntami lub nazwiska objaśniają, z kim w danym wypadku mamy do czynienia. Protokolle 1904, 47.

W polskim języku nazywają jedną i drugą kategoryę olędrami.

[2]) Schmidt, l. c. 352.

[3]) Schmidt, l. c. 325/6.

gów. Jako przyczynę wychodźtwa podaje elektor zwabianie chłopów marchijskich obietnicami swobody ze strony polskiej [1]).

Ale pismo to skutku nie odniosło, skargi w następnych dziesiątkach lat ze strony szlachty marchijskiej nie ustawały, mianowicie zaś wzmogła się podczas 30-letniej wojny emigracya z Marchii do Polski.

Nie odnaleziono dotąd edyktów panów polskich, za pomocą których zwabiali ludność z Niemiec do wsi polskich. Zato zachowały się i przeszły do wiadomości publicznej bardzo wymowne edykty, zapraszające niemiecką ludność do Wielkopolski wogóle. Zygmunt z Grudna Grudziński, wojewoda kaliski, dd. Kurnik 1-go listopada 1641 ogłasza w niemieckim języku, że na gruncie wsi swojej Zwarsentz (Swarzędz) założył miasto Grzimalaw (Grzymałowo) i wzywa uprzejmie „wszystkich rzetelnych dobrych ludzi niemieckiej nacyi“ (*alle redliche gute Leute deutscher Nation*) do osiedlenia, gwarantując im swobodne *exercitium* ewangelickiej religii.

Taksamo obiecuje 16 kwietnia 1651 r. Krzysztof Żegocki, starosta babimojski, późniejszy biskup chełmski, który pozwolił „kochanym swoim i wiernym niemieckim obywatelom babimojskim wybudować sobie ewangelicki dom boży na królewskim gruncie“, a sprowadzającym się Niemcom chronić „niemiecką swobodę“ [2]).

Gdy zaś skutkiem tego w r. 1659 stany Nowej Marchii odezwały się ze skargą, że „poddani ich teraz często uciekają do Polski, a tamtejsi panowie ich nie wydają“, zwrócił się Fryderyk Wilhelm przez swego posła w Warszawie, Hoverbecka, d. 20. V. 1659 o zwrot zbiegów, a prócz tego w r. 1660 do starosty ujskiego o zbiegów z Pomorza [3]). Dopiero jednak 1662 r. uzyskał elektor od króla Jana Kazimierza patent opiewający, iż wszyscy zbiegi z Pomorza dolnego i z ziemi Kamińskiej zwróceni być mieli swoim władzom [4]).

---

[1]) Movet autem homines eos, quod passim in locis istis excisis sylvis novi pagi extruuntur et qui se eo habitandi causa conferunt, eis ad aliquot annos a servitiis aliisque praestationibus immunitas conceditur. Unde libertatis quadam spe allecti et, quod se faciliori labore rem facere posse putant, confluunt.

[2]) Warschauer, Z. Posen XIII, 54 i n.

[3]) Schmidt, l. c. 327.

[4]) Schmidt na mocy badań berlińskiego archiwum.

Ale mimo to rozporządzenie dziedzice marchijscy sami musieli szukać zbiegów, a elektor wystawiał im w tym celu paszporty i listy polecające w latach 1662, 68, 74. Jeszcze zaś w r. 1667 uskarżał się do Adama Gembickiego, starosty nowodworskiego, że reklamacye stanów nowomarchijskich zostały bezowocne, a wsie po większej części stoją pustką.

Ruch ten widocznie wielkie przybrał rozmiary, a skutek się utrwalił. Znaczna część osad niemieckich chłopów nad Notecią i w zachodnich powiatach Księstwa, nadająca tym okolicom charakter niemiecki, do tych odnosi się czasów.

Po wojnie szwedzkiej okazała się tem większa potrzeba zaludnienia kraju kolonistami.

Ówczesny pruski ambasador przy dworze sasko-polskim, B. F. v. Kunheim, pisał do Fryderyka Wilhelma I. (Wschowa dn. 18. XII. 1717): „Słyszałem od polskich magnatów, jak sobie pochlebiają, iż skoro tylko Moskale opuszczą Polskę, oni zupełnie swoje opustoszałe miejscowości na Litwie i w Polsce obcemi nacyami osadzą i mają tę niepłonną nadzieję, iż pruscy, pomorscy i nowomarchijscy poddani W. K. Mości gromadami udawać się będą do Polski". Wobec tego doniesienia Fryderyk Wilhelm I. zaraz wysłał do władz wymienionych trzech obwodów, d. d. Berlin 25. XII. 1717. rozporządzenie, aby zwracano uwagę na tajnych polskich emisaryuszów, którzy się starają o to, „aby naszych nad granicami Polski i Litwy mieszkających poddanych przywabiać" [1]).

Przeważny udział w całej tej kolonizacyi wziął niemiecki żywioł protestancki [2]), jako bezpośrednio graniczący z Polską.

Daleko mniejszą część imigrantów stanowią katolicy niemieccy; pośród nich zaś przeważali mieszkańcy arcybiskupstwa bamberskiego i elektoratu bawarskiego.

Z kontraktu zawartego pomiędzy magistratem Poznania

---

[1]) Schmidt. Deutsche Dorfansiedlungen, 139.

[2]) Pierwsi koloniści w założonych w tej epoce wsiach byli wyłącznie protestantami i pochodzili z Brandenburgii i Pomorza. W licznych dokumentach wymienia się ich „heretyckie" wyznanie — przeważna część tych wsi późniejszego obwodu noteckiego — była w chwili okupacyi pruskiej protestancką — a w ostatnich stuleciach panowania polskiego propagandy protestantyzmu nie było. (Mimo to musieli płacić oni kościołowi katolickiemu dziesięciny iura stolae okazyi z chrztów, ślubów i pogrzebów, chociaż ich ministrowie lub nauczyciele odnośne funkcye spełniali). — Schmidt. Geschichte, 343.

a osadnikami Luboni (Luban) wynika, że magistrat polecił po zarazie 1709 r. wszędzie wydawać — *Avertissements* — ogłoszenia rozpowiadające o wolnościach, jakie dawano [1]).

Rzekomo z okazyi bytności w Bambergu poznał biskup poznański (prawdopodobnie Krzysztof Szembek 1716—1720) doskonałe gospodarstwo i mnogość ludności tegoż biskupstwa, a powróciwszy zwrócił magistratowi poznańskiemu uwagę, iż mógłby wyludnione przez wojnę północną i zarazę morową wsie kameralne Rataje, Dembiec, Lubonię, Wildę, Jeżyce, Winiary i Górczyn zaludnić i podnieść. Jako osobną bamberczyków zaletę zaznaczył ich katolicyzm w przeciwieństwie do Niemców protestantów, osiadających w prowincyi. Miasto ogłosiło ponownie *avertissements* do osiedlenia się w swych wsiach, a już 1719 r. około 30 kolonistów z okolic Bamberga przybyło [2]). Emigracya trwała parę dziesiątków lat, gdyż jeszcze z roku 1752 mamy tego dowody [3]).

---

[1]) Bär. Die Bamberger, 8.

[2]) Bär, a za nim Schmidt, 411.

[3]) W archiwum w Bambergu znajdują się akta, objaśniające nas o warunkach, w jakich opuszczali bamberczycy ojczyznę, udając się do Polski. A. B Hof-Raths Protocolli 1752 Rep. 118 II. N. 115. Emigranten nacher Polen. Hofraths Protocolli rerum resolutarum de dato 29 Now. 1752.

Sołtys ze Scheslitz donosi, że Hanns Vielmuth, czeladnik tkacki, pochodzący z Ludwach, który pod Poznaniem się osiedlił i przed kilku tygodniami wrócił do swej ojczyzny, celem odebrania pieniędzy w wysokości około 60 fl. i podjęcia spadku swojej żony w urzędzie Baunach, wzbudził u rodaków swoich w Ludwach taką oskomę, że niektórzy postanowili dla lepszych warunków życiowych i dla wygody towarzyszyć Vielmuthowi do Polski. Wspomniany sołtys załączył spis tych ludwachskich poddanych, którzy częścią uiściwszy podatek dodatkowy (Nachsteuer) już się przeprowadzili, częścią dopiero to uczynić zamierzają. Dodano uwagę, iż są to przeważnie ludzie, którzy mało lub nic nie posiadają, albo też tacy, których miejscowość Ludwach chętnieby się chciała pozbyć i od nich uwolnić. Po dojrzałem zastanowieniu się nad temi okolicznościami niema powodu chwilowo wzbraniać tym ludwachskim poddanym przeniesienia się do Królestwa Polskiego, dotąd bowiem nie odczuwano braku poddanych w biskupstwie, poddani zaś, którzy chcą teraz biskupstwo opuścić, są mniej zamożni i dla tamtejszej okolicy staliby się raczej ciężarem niż pożytkiem, nie mówiąc już o tem, że niema tym razem niebezpieczeństwa ani obawy zmiany religii. Należy tylko pobrać należytość.

Rejencya się pyta, czy biskup chce zezwolić na emigracyę?

Na boku odpowiedź: Placet pro hoc casu i ponieważ to same łajdaki być mają, in regula jednak nie można tak łatwo brać tych rzeczy, i przynajmniej zarządzić, iżby tego rodzaju werbownikom i wracającym ludziom pobyt nie był dozwolony, lecz na innej drodze im dostawiono, co się im należy.

Nie tylko zakładano dla Niemców wsie osobne na osobnem prawie, osiedlano ich także wśród kmieci polskich, a imigracya tak była silna, że wieś ongi polska po większej części lub cała zniemczała. W takim razie dziedzice dawali odpowiednią niemczyźnie ordynacyę gminną i gospodarczą. Tak zdecydował się Józef Ulatowski w roku 1772 osadzić sołtysa we wsi swej Grabowo w po-

---

Do tego protokołu dołączono spis tych, którzy zamierzają przenieść się do Królestwa Polskiego, a po części już się wyprowadzili:

Georg Stahler, żonaty, posiada 200—250 fl. w postaci domu i pola.
Hanns Rudel, żonaty, posiada do 400 fl. w 3 polach i pożyczkach.
Jakób Vielmuth, nieżonaty, ma jedno pole wartości do 80 fl.
Małgorzata Vielmuth, niezamężna, ma pole wartości 80 fl.
Jakób Dippolt, żonaty, ma 2 pola wartości 200 fl.
Wszyscy z Ludwach.
Hanns Dörfler z Hohenhaeusling — nic nie ma.
Hanns Vielmuth, żonaty, miał do 60 fl. i zabrał je ze sobą.
Tomasz Vielmuth, kowal, żonaty, nic nie ma jak narzędzia.
Obaj z Ludwach.
Scheslitz, d. 22. I. 1752. Jan Michał Mey
sołtys.

Akt ten archiwalny odpisany na miejscu podaje autor w całej rozciągłości ze względu na jego znaczenie dla potomków wymienionych tutaj wychodźców, których potomkowie w prostej linii zaludniają do dziś dnia przedmieścia poznańskie.

Podobny dokument dotyczący emigracyi z Bawaryi do Polski znajduje się w archiwum okręgowym w Monachium:

A. O. M. G. R. 405 2. Sąd starościński w Mitterfels d. 28. I. 1741 r. Do elektora.

Elektor polecił tych, którzy 1740 r. do Polski wywędrowali, zapisać w poszczególnych urzędach. Żaden osiadły poddany nie wyszedł prócz kilku najemników z żonami i dziećmi — ale wiele poddanych szczególnie w Waldprobstamt dla nieurodzaju i głodu i podatków okazuje do tego skłonność. Sąd prosi zatem o opust podatkowy. — Do tego pisma dołączono wyszczególnienie poddanych, najemników i synów chłopów, którzy wyszli stamtąd do Polski, zestawione na d. 22. I. 1741. Wykazuje ono, że z obwodu Rotenberg wyszły 4 rodziny, 11 parobków i dziewczyna z jednem dzieckiem. Z obwodu Thurn 1 rodzina, z Schwanach 6 parobków, z dóbr elektorskich 6—10 parobków. W rzeczywistości było emigrantów o wiele więcej, ale władze ich nie wpisały.

W tymże roku urząd powiatowy straubingski d. 1. II. 1741. prosi o paszporty do Polski, a d. 17. II. 1741. powtarza prośbę, gdyż wiele młodych ludzi pragnie udać się do tego kraju.

Na to odpowiedziano: Monachium, 25. II. 1741. Na emigracyę nie zezwolić, bo się w Polsce lepiej im wieść nie będzie. Teraz jest werbunek, więc dość sposobności do zarobienia chleba — bez podżegaczy nie chcieliby iść, tylko czynią to skutkiem ich poduszczenia.

wiecie wągrowieckim, „ponieważ teraz cała już przez Niemców jest zamieszkała“ [1]). Podobne refleksye już w roku 1750 spowodowały K. I. M. Grudzińskiego, przyjaciela i opiekuna niemieckich kolonii, dać niemieckim chłopom w Ostrówku w pow. chodzieskim bardzo liberalną ordynacyę wiejską. Tosamo uczynił 1763 r. Antoni Miączyński, pan na Połajewie, dla Sierakówka w powiecie obornickim „wedle przykłedu swoich sąsiadów i odpowiednio do prawa przyrodzonego“.

Po wsiach, które się powoli z polskich zamieniały na niemieckie, rzadko zachodziły przywileje i ustawy, któreby regulowały jednolicie prawa i obowiązki całej gminy. Tutaj zwykle siedział każdy na swej włóce na mocy osobnego kontraktu. Na czele sołtys. Dalej szereg chłopów wysoki czynsz od włóki płacących, ale wolnych od szarwarków. Obok nich wolni chłopi na $^1/_2$ i $^1/_4$ włóki. Potem chłopi szarwarkowi, którzy mało płacili, ale w pewnej ilości dni służyli panu ręczajem i sprzężajem na mniejszych i większych gruntach. Dalej zagrodnicy i chałupnicy, którzy w posiadaniu małego ogrodu za myto lub darmo służyli chłopom lub panu. Wreszcie parobcy i dziewki w gospodarstwach. Nakoniec pasterze, zwłaszcza owczarze, mieli osobne stanowisko, na mocy osobnego kontraktu; wykonywali zaś rzemiosło młynarz, kowal, porządkowy [2]).

Właśnie zaś w czasie kolonizacyi Śląska przez Fryderyka II. najżywsze odbywały się dyskusye na temat wzrostu ludności w Polsce. Echo to było systemu merkantylistycznego, który przemawiał silnie za tolerancyą dla dysydentów ze względu na dobro gospodarcze i ogólne kraju.

Pod rokiem, w którym rozpoczynał Fryderyk swoją kolonizacyę na Śląsku, znajdujemy w archiwum Sułkowskich [3]) z Rydzyny podany dnia 17-go stycznia 1763 roku traktat ekonomiczno-polityczny, w języku niemieckim pisany, 17 stron liczący, który w 4 rozdziale „O liczbie mieszkańców państwa“ podaje wywody o najczystszem zabarwieniu merkantylistycznem: „Liczba mieszkańców nie może być nigdy zanadto wielką. Im większą jest ilość zgrabnych, pilnych i zamożnych mieszkańców, tam szczęśliwszym jest pan, tem szczęśliwszym poddany. Każdy poddany choćby

---

[1]) A. Posn. Pers. II, 57 przytoczone przez Schmidta. Geschichte l. c. 406.
[2]) Schmidt l. c. 407.
[3]) Leszno, 4, obecnie w Archiwum Przyj. Nauk w Poznaniu.

najgorszy, z wyjątkiem leniwca i żebraka, niemałego jest znaczenia dla panującego z powodu codziennej swej kontrybucyi i wprawianego w ruch obiegu pieniężnego".

Temi samemi zagadnieniami zajmowano się wówczas i w Warszawie na dworze Stanisława Augusta. Dostęp znalazły tam broszury obce i swoje popierające zaludnienie. Były tam pomiędzy innemi Maksymy i Nauki o dobrym Porządku, przetłomaczone z Traktatu Josephi Butschek: *Versuch über die Absichten der Landes-Regierung bei Leitung der Land-Wirtschaft. Prag 1768* [1]). Na samym wstępie znajduje się tam zdanie: „Przymnożenie ludności bez wątpienia powinno być przyjęte za regułę pierwszą i najgłówniejszą wszelkich Spraw Państwa".

W tymże czasie August Moszyński dedykował królowi swoją broszurę: *Essai sur les principes de la richesse d'un État applicable à la Pologne 1774*, w której takie zamieścił zdanie: „*La plus grande richesse d'un État est la population; plus elle est considérable dans un Pays susceptible de culture, plus l'État en tire d'avantages. Ce sont autant de bras qui travaillent la terre, qui contribuent par leur industrie à tirer parti de tout et qui défendent l'État contre l'oppression... Moins un État est peuplé, plus il a des maux a redouter*" [2]).

Poprzednio już, w r. 1765, stał się Monitor szerokiem i głośnem polem wymiany zdań w sprawie kolonizacyi Polski. Piszący tam mają przedewszystkiem na myśli stworzenie handlu i przemysłu w Polsce — ale nie mniej także podniesienie rolnictwa przez przyciąganie kolonistów znających się na wyższej kulturze ziemi.

W artykule zamieszczonym w N. XXXVI t. r. „O potrzebie ludu w kraju", pisze jeden z współpracowników Monitora: „Kraj nieludny byłże kiedy bogaty? kraj ludny byłże kiedy ubogi? — pyta się autor angielski (Tucker, *Questions sur le Commerce*). Gdyby na wsparcie niewątpliwej tej prawdy, iż ludność kraju najpewniejszym jest zbogacenia kraju sposobem, a nieludność najpewniejszą ubóstwa przyczyną, gdyby mówię na wsparcie tej prawdy przykłady przywodzić trzeba było, moglibyśmy Polskę naszą cytować. Największe w Europie królestwo, żyznością ról, łatwością noszących statki rzek wygodą, od natury opatrzone, najmniejszemu

[1]) Archiwum Czartoryskich, 807.

[2]) Archiwum Cz. 807.

w Europie państwu przyrównać się w bogactwie nie możemy, a pryncypalną, nie wątpmy o tem, niedostatek ludu, ubóstwa kraju tego jest przyczyną“ [1]). Do tych wywodów Monitor dodaje, przemawiając za wprowadzeniem dysydentów, następujące zdanie:

„Z najbliższych Królestwa Krajów, skąd najwięcej pomocy zasięgnąć możemy, Dysydentami zamieszkanych, inszej religii ludu mieć nie możemy. Wolność, własność, sprawiedliwość, tolerancya samemi prawami naszemi ustanowiona, podnieść Polskę, i zaludnić, zbogacić, wzmocnić, i z innemi potencyami zrównać potrafią“ [2]).

Nietylko jednak za dysydentami, lecz wręcz za Niemcami czyniono agitacyę w celach zaludnienia i podniesienia kultury kraju.

Tenże Monitor pisał wówczas: „Utaić przed sobą samymi“ nie możemy, iż wiele oświecenia, wiele znajomości, wiele pomocy we wszystkiem od cudzoziemców zasiągnęliśmy. *Regnum Poloniae tam in urbis, quam in vicis et rure, per Almanos et forenses cultum et habitabile effectum, ex hominibus Polonis, mitia magisque iusta et modesta provenere ingenia* — mówi historyk nasz Długosz *ad annum 1347* (pod Kazimierzem Wielkim)“ [3]).

A na innem jeszcze miejscu: „Im więcej byśmy pożytecznego ze wszech miar obcego ludu przyciągnąć i zatrzymać u nas mogli, tem więcej sum w Królestwie zostałych, tem większą pieniędzy i wszystkiego obfitość widzielibyśmy, tem większa urodzajów naszych konsumpcya, wsieby nasze, miasta i intraty podnosiła“ [4]).

Łatwo zebrać można cały zasób głosów najwybitniejszych statystów i pisarzy polskich politycznych, przemawiających bezwzględnie za kolonizacyą.

W tym sensie wywodzi Antoni Popławski w swoim Zbiorze w r. 1774, iż „mnogość pracowitego ludu w każdem państwie, pożywności i dostatku roli, jest źródłem nieustającem wszelkich bogactw krajowych. Im więcej bowiem mnoży się robotników, tem większe następować musi przyczynienie służących rzeczy do pożywienia i wygody, tem bardziej obfituje kraj cały w dostatki, tem się mocniejszy staje naprzeciw groźnym zamachom sąsiada“ [5]).

---

[1]) Monitor 1765, 276.

[2]) Monitor 1765. N. 41, str. 333/4.

[3]) Str. 282.

[4]) Monitor 1765. N. 41, str. 336.

[5]) Zbiór, 45.

Jeszcze silniej daje wyraz tej konieczności Józef Wybickl w swoich Listach Patryotycznych do exkanclerza Zamoyskiego w r. 1777 i 1778 pisanych. „Zaludnienie najpierwszym i najistotniejszym interesem uznano każdego narodu. Kalkulują się Państwa siły, i jego bogactwa nie tak z rozległości granic jak raczej z liczby mieszkańców. W proporcyą ludzi zostaje ziemia lepiej sprawiona, i staje się obfitszą. Więcej okazuje się rąk, które w tysiączne wzory kształcą dziki płód ziemi, bogactwa przynoszą Państwu, i czynią je wygodnym. Łatwiej bez uciężliwości potrzebne na utrzymanie kraju płacą się podatki. Pewniej w potrzebie obrony mnóstwo ludzi zasłania swemi piersiami granice Ojczyzny. Nie było nikogo, ktoby tej nie uznał prawdy i mniemał inaczej, byli tylko, którzy sądzili, że kraj być nie mógł nadto zaludniony. Jesteśmy bezludni, populacya jak najistotniejszy kraju interes, powinna was współobywatele szczerze zatrudnić. Wszystkie wasze Prawa jej sprzyjać powinny. Inaczej mimo układy i rozporządzenia najmędrsze, bez sił, skarbów, i powagi będziemy, bo to wszystko ludność szczególnie zjednywa, i daje" [1]).

Czyni to i Krasicki w Panu Podstolim (1778). „Tak Państwa — powiada on — jako i szczególnych majętności największe bogactwo wielość poddanych. Jako więc Monarchy czułość zmierzać ma ku zaludnieniu kraju, również dziedzice o to starać się powinni, żeby ile możności liczbę poddanych swoich powiększali" [2]) i Staszic w swoich Uwagach: „Nie mnogość kwadratowych mil, ale wielość milionów jej mieszkańców państwa szczęśliwość, moc i trwałość oznacza" [3]).

A zdanie to przetrwało aż do ostatnich chwil Rzeczypospolitej. Nax w swoim Wykładzie początkowych prawideł Ekonomiki Politycznej, mówiąc „o niektórych poprawach, które w różnych częściach Narodowego Gospodarstwa wprowadzić można" — głosi: Na mnóstwie mieszkańców (pod warunkiem. że to są ludzie pracowici, rządni, przemyślni, skromni, wstrzemięźliwi, prawom posłuszni i swoją Ojczyznę kochający) całe bogactwo, bezpieczeństwo i sława Państw się zasadza. Przy znakomicie zmniejszonej ludności wszystko nikczemnieje [4]).

---

[1]) Listy I. str. 110/3.

[2]) Księga I. 97.

[3]) Uwagi, 209.

[4]) Wykład, 85.

W tymże kierunku rozwijało się i ustawodawstwo krajowe. Konstytucya S. E. W. 1775. opiewała: Sposobem zaludnienia i wprowadzenia summ do prowincyi W. X. Litewskiego. Chcąc puste i nieosiadłe w W. X. Litewskiem ziemie do należytego i użytecznego przyprowadzić stanu oraz pomnożyć bogactwa krajowe przez wprowadzenie pieniędzy i ludzi zagranicznych, pozwalamy prawem niniejszem ludziom stanu miejskiego (żydów i chłopów od panów niezwolnionych wyjąwszy) grunta, wsie, wszelakie dobra dziedziczne, prawem wiecznego dziedzictwa, zastawnym lub arędownym nabywać, które prawo i cudzoziemcom w krajach Rzeczypospolitej osiadać chcącym służyć ma[1]).

Odpowiednio do tych zapatrywań i dążności aż do ostatniej chwili żywota politycznego Rzeczypospolitej ściągano Niemców do Polski.

Jeszcze 10 marca 1790 komisya cywilno-wojskowa dobrego porządku województwa kaliskiego w Kaliszu wydała „Publicandum“ w niemieckim języku, celem ściągnięcia kolonistów Niemców, szczególnie — zdaje się — protestantów, do kraju. Publicandum to znajdujące się w archiwum kościoła ewangielickiego w Kępnie, przedstawia żyzność Polski, ubóstwo ludzi pomimo pracy natężonej w innych krajach, zapewnia o bezpieczeństwie życia i mienia, dla imigrantów uwolnienie od służby wojskowej aż do trzeciego pokolenia[2]).

Co kwartał miał ten uniwersał być ogłaszany z ambon kościołów katolickich i protestanckich i w szkołach wiejskich — a przetłomaczony na obce języki, jak najwięcej rozszerzany za granicą, a więc przedewszystkiem w Prusiech.

Stosownie też do tych pojęć i zabiegów im więcej zbliża się chwila zabrania Prus i obwodu nadnoteckiego przez Prusy w r. 1772. tem liczniej i coraz liczniej powstawały nowe niemieckie wsie. Gdy zabór nastąpił, wykazało się, że z liczby mieszkańców zabranego kraju więcej niż $^1/_4$ czyli 28% była luterska i niemiecka[3]). W obwodzie nadnoteckim w r. 1772 z 789 miejscowości 176 było czysto niemieckich i protestanckich = 22,01%, 142 mieszanych

---

[1]) Vol. Leg. VIII, 405.

[2]) Zresztą w przeciwieństwie do pruskich publikandów uderza uniwersał nieścisłością w podaniu warunków i napuszystością stylu — tam tylko pochwytne fakta, tu mnóstwo frazesów bez wartości praktycznej.

[3]) Schmidt, Deutsche Dorfsiedlungen, 138.

niemieckich i polskich = 18,1%. Z 176 niemieckich osad było 80 założonych jako olędry, 20—30 jako wsie sołeckie [1]).

Skąd te 176 czysto niemieckich wsi i niemiecki udział w 142 mieszanych? Oto krok za krokiem stawiając, wdzierał się — jak już wspomnieliśmy wyżej — chłop niemiecki w wieś polską, witany chętnie i wspierany przez polskiego dziedzica, który sobie obiecywał po jego wydatności w pracy i jego roztropności i wiedzy obfite korzyści. W ten sposób poprzerastały powoli lecz stale niegdyś czysto polskie wsie niemieckimi chłopami, którzy wreszcie na całej gminie wycisnęli czysto niemiecki charakter [2]).

Podobnie było także w Wielkopolsce: oprócz powiatów leszczyńskiego i wschowskiego wszędzie w Księstwie spotykamy olędry. Z początku skolonizowano powiat bydgoski (tam około 30 wsi założono), w w. XVII szubiński (10 wsi), inowrocławski (9 wsi), wieleński (7 wsi). Około roku 1700 skolonizowano powiaty na wschód od Obry — części grodziskiego, nowotomyskiego i babimojskiego i to bardzo gęsto. W w. XVIII liczne założono kolonie w skwierzyńskim, międzychodzkim, obornickim, szamotulskim, chodzieskim, czarnkowskim i międzyrzeckim powiecie — około połowy XVIII wieku w powiecie średzkim i śremskim, później w pleszewskim i jarocińskim — w południowych powiatach prawie ich niema. Razem można udowodnić fakt istnienia około 400 olędrów, a więc wsi Niemcami osiedlonych w Księstwie [3]).

„Tak więc należy zabranie obwodu nadnoteckiego przez Prusy uważać jako wyraz polityczny naturalnego lub też wedle wielkich ogólnych prawideł się dokonywającego ruchu ludnościowego zmierzającego na wschód“, twierdzą dzisiaj w swojem pojęciu konsekwentnie Niemcy [4]).

Znaną zaś było rzeczą korzystne położenie kolonistów w Polsce.

Lelewel powiada, iż lud moskiewski zwracał zwykle na Polskę oko. Żywotna iskra przebiegała jego żyły, udzielając pojęcia krainy od jego carycy najechanego, niespodzianie podniecała w nich upragnienie. Życzyli sobie odetchnąć w Polsce, jak to widać z urzędowych dworu petersburskiego zażaleń, że Polska daje rosyjskim

---

[1]) Patrz: Ustrój kolonii — w tomie drugim.

[2]) Schmidt, Geschichte, 405.

[3]) Schmidt, Geschichte, 404.

[4]) Schmidt, tamże.

zbiegom schronienie. W Polsce i na Ukrainie rzeczywiście też o wolności mówiono, czego w Rosyi nie było; wieśniak moskiewski mniemając, że carowa szła pognębić swobodę, jaka w Polsce była, nie rozpoznawał jakiego to rodzaju ta swoboda była, uchodząc ze swego kraju, mniemał ją znaleźć [1]).

Podobnie patrzał chłop niemiecki na Polskę widząc, jaką wolnością jego rodacy w tym kraju się cieszyli.

Korzystne ich położenie było przyczyną, dla której chłopi z Prus uciekali do Polski. To spowodowało już Fryderyka I, iż myślał o poprawieniu doli chłopów, mianowicie przez obdarowanie ich wolnością.

Królewska Kamera w Kolonii nad Sprewą referowała d. 31. VII. 1708 królowi Fryderykowi I, że jego poddani z królestwa pruskiego, z Pomorza i z Nowej Marchii opuszczają po większej części kraj, zostawiają domy i zagrody i idą osiedlić się w Polsce, gdzie im się użycza wszelkiego rodzaju swobód i korzyści.

Wówczas więc — jak to podnosi Knapp [2]) — takie było położenie chłopów na pruskich domenach królewskich, których dziedzicem był król sam, iż chłopi niemieccy spodziewać się mogli w Polsce poprawy losu. Ażeby zapobiedz opustoszeniu królewskich domen, nie znała kamera żadnego lepszego środka, jak znieść osobowłasność poddanych w królestwie pruskiem i innych wymienionych prowincyach [3]). Tegoż znów samego faktu: korzystnego położenia chłopów w Polsce i pociągu włościan do przenoszenia się do tegoż kraju, użyły kamery pruskie jako argumentu przy sprzeciwieniu się rozporządzeniu Fryderyka Wilhelma I. z dn. 24. II. 1724, który życzył sobie zniesienia poddaństwa na dobrach szlacheckich. Uważały one za niechybne następstwo tej swobody, iż uwolniony chłop skorzysta zaraz z niej w ten sposób, iż czemprędzej wyprowadzi się do Polski [4]).

Polacy sami, zdaje się, rzadko czynili refleksye na temat odmiennego traktowania swoich a obcych chłopów.

Wśród tych nielicznych, krytycznych w tym względzie autorów, Garczyński zwracał uwagę na różnicę położenia, w jakiej się

---

[1]) Polska, Dzieje i Rzeczy jej III, 408.

[2]) Die Beuernbefreiung II, 3.

[3]) Knapp, II, 3.

[4]) Knapp, 28.

chłop polski w stosunku do niemieckiego znajdował. „Niech ciekawość czyja zlustruje wsie Dyssydenckie, Manistowskie, a poniekąd i Kwakrowskie i w Przywilejach ich obaczy, że w każdej ich wsi, więcej kmieć od jednego śladu swojemu Dziedzicowi nie płaci czynszu, tylko talarów dziesięć, albo dwanaście, a *e converso* gdy kmieć Polski chłop katolik na równym śledzie zasiądzie, musi codzień Panu trojgiem zaciąg odrabiać więc w jednym roku dni powszednich mamy 271, rachując od minimum od jednej osoby na dzień $^{1}/_{2}$ złotego po staremu pokazuje się, że poddany katolik ordynaryjnym trybem Panu swemu wypłaca od jednego śladu robiąc trojgiem, złotych 406, a cóż gdyby tłuki i święta do tego skombinować, a cóż mówić kiedy ci sami kmiotkowie przytem muszą podatki Rzeczypospolitej jako to pogłówne półrocznej płacy sami znosić, niemniej i kontrybucye od Inwazorów nakazane [1]). — Przy budowie klasztorów i kościołów majster niemiec 14 zł. na tydzień, podmajstrzy 12, uczeń 10, i po 2 garnce piwa na dzień, a swoim katolikom poddanym do pomocy i do wożenia materyi darmo po zaciągu chodzić każą (*i passim* owo murowanie tak zrujnuje majętności, że poddani od czeladzi i inwentarza odpadną do preagrawacyi roboty, cudzoziemcy się spanoszą... Niech tedy każdy roztropnie zważy, jeżeli to nie jest w samej rzeczy eluzya z P. Boga prosić go po kościołach, przed świętemi Ołtarzami, o egzaltacyą kościoła św. katolickiego, o poniżenie herezyi, a jakże to być może, gdy herezyi w swoich dobrach przy wolności żyć pozwalamy, a swoich katolików w oppressyi nieporównanej zachowujemy, sposób życia im odbieramy)“ [2]).

Tem więcej uwydatniali tę różnicę położenia chłopów w Polsce obcy — zwłaszcza podróżnicy.

Coxe, „członek król. kolegium w Cambridge i kapelan ks. Malborough“, w opisie swojej podróży po Polsce [3]) dzieli chłopów znajdujących się w Polsce na niemieckich i tubylczych i taką w ich położeniu widzi różnicę: „Dobroczynne skutki wolności, jakimi się cieszą chłopi niemieccy, bardzo są widoczne w stanie ich stosunków domowych. Wsie ich lepiej są zbudowane, role

---

[1]) Anatomia, 128.
[2]) Anatomia, 127 9.
[3]) I, 95.

uprawione lepiej od pól należących do Polaków, mają więcej bydła i t. d.“

Stenger z Kargowy w r. 1798 twierdzi iż, olędry w najkorzystniejszy sposób doszli nierzadko do bardzo znacznych posiadłości [1]) i zaznacza, że pierwsi z nich wbrew ogólnemu mniemaniu nie opuścili Niemiec dla prześladowania religijnego [2]).

Najdrastyczniejszy jednak przykład, jak dobrze powodziło się niemieckim kolonistom w Polsce, dał Bernouilli [3]).

Powiada on: „Dla Niemców jest Polska w okolícach Witkowa ziemskim rajem, krajem pełnym zbytku i zupełnej wolności w gospodarowaniu, — żadnej akcyzy, prawie żadnych podatków, żadnej służby wojskowej, wszelka możliwa ochrona ze strony szlachty. Szlachta zadaje sobie bardzo wielkie starania i naraża się na znaczne koszta, aby dostać Niemców. Dlatego dokoła Witkowa wszystko obsadzone jest Niemcami. Nie trzeba mieszać poddanych z niemcami, poddany jest niewolnikiem szlachcica, *glebae adscriptus*. Niemiec zawiera kontrakt z szlachcicem i może sobie iść gdzie chce. Oprócz tych mieszczan Niemców jest wiele jeszcze służby domowej, pisarzy, rządców, gospodyń, mamek i t. d. u znaczniejszej szlachty i dobrą otrzymuje płacę. Niemcy ci pochodzą z wszystkich prowincyi Niemiec; niemało ich jest z Brandenburgii.

W Witkowie wiele jest Szwabów i Bamberczyków [4]). Najszczęśliwszym człowiekiem w Polsce około Witkowa jest niemiec młynarz. W najprzyjemniejszej okolicy nad bieżącą wodą, często wśród pięknych łąk stoi jego mieszkanie, podwórze jego roi się od najdoskonalszego ptactwa wszelkiego rodzaju, które tylko na jego przeznaczone jest użytek, trzoda wszelaka, bydło najdoskonalszej rasy pasie się koło zagrody, konie pod wierzch do pociągu ma w stajni, leśnicy zaopatrują go we wszelką zwierzynę, jaką tylko pora roku wydaje, sam warzy piwo i miód, często ma piwnicę zaopatrzoną w wino węgierskie, a gdy przyjmuje u siebie znajomego lub przyjaciela, wtedy stół prawdziwego starego Anglika nie może lepiej wyglądać. W pościeli jego może spokojnie spać każdy król; a jeśli nie hołduje próżności w stroju, to jest to tylko mały

---

[1]) Von den Hauländereien, 249.
[2]) Von d. Haul. 249.
[3]) Tanneberg, 247.
[4]) Bernouilli, l. c. 248.

haracz, jaki płaci barbarzyństwu kraju, który go zaopatruje obficie w rzeczy rzetelne...[1])

Obok tych szczęśliwych postawię najnieszczęśliwszych... mam na myśli polskich poddanych. Ludzie ci są tak dalece własnością ich pana jak pióro, którem piszę te słowa; obchodzi się on z nimi jak z bydłem, mienia się, sprzedaje, przegrywa w zakład, w karty, przepija... życie ich jest mimo wszystkich praw w jego mocy. (Tu następuje dokładny opis dłuższy nędzy chłopa polskiego, str. 251.)

Temi stosunkami korzystnemi tłomaczy sobie Bernouilli objaw, iż jakkolwiek dzikimi i surowymi są Polacy, to jednak żaden rolnik Polski by nie opuścił i nie obrał Brandenburgii na miejsce zamieszkania[2]). Z tych rodzin, które się schroniły do Brandenburgii, wiele już popowracało i jeszcze wraca coraz więcej, najstraszniejsza z wszystkich wojen nie wzbudziła w nich wstrętu przeciw krajowi, gdzie doznali tyle swobody i tyle dobrego, chociaż podobne nieszczęście każdej chwili znów ich spotkać może[3]).

Potwierdza to memoryał niemieckiego właściciela ziemskiego, który mieszkał 14 lat w Polsce i wiele po niej podróżował. Memoryał ten posłał niejaki T. G. v. Hippel d. 3 grudnia 1811 Hardenbergowi. W piśmie tem wysławia autor zamożność i kulturę olędrów, ich dobrze uprawione pola, opasłe bydło, czystość mieszkań i osób, dowodzące ich szczęśliwego położenia[4]).

To też życzeniem było autora broszury „O włościanach", aby nie odmawiano w Polsce rodakom tych praw, jakich tak szczodrobliwie udzielano obcym.

„Żaden przychodzień nie osiadłby polskiego gruntu, skoroby mu nie pozwolono opisywać się kontraktem i dochodzić jego warunków w sądzie, aniżli tego słusznie pozwalamy przychodniom, za cóż pracującym Rodakom tak dawno w kraju wzbraniać mamy?"[5]) Zanim to jednak nastąpiło, zanim zrozumieliśmy swój interes, dalekie obszary Polski już były rozkolonizowane pomiędzy Niemców.

X. K. Zimmermann.

---

[1]) Bernouilli, 249/50.

[2]) Bernouilli, 285.

[3]) Str. 287. Bernouilli ma pewnie na myśli r. 1763 i czasy barskiej konfederacyi.

[4]) Memoryał ten podał Lehtonen: Die polnischen Provinzen.

[5]) W Warszawie 1791, str. 21.

Życie Montaigne'a.

(Dokończenie).

Wśród licznych komnat rozległego zamku wybrał sobie myśliciel kącik najbardziej odosobniony, pokój w narożnej wieży, gdzie też urządził sobie bibliotekę; nadto, by przybytkowi temu nadać atmosferę, stosowną do przeznaczenia, poumieszczał na belkach sufitu liczne napisy, całe zdania, sentencye, których naliczono 54, wyjęte bądźto z księgi Eklezyasty, z Listów św. Pawła, lub też z licznych autorów klasycznych. Sentencye te dadzą się sprowadzić niemal wszystkie do wspólnego mianownika, tj. do sceptycyzmu metafizycznego, którego są czystszym, jaskrawszym wyrazem od samych Essais, gdzie głębsze zastanowienie każe myślicielowi niejedną krańcowość swych idei złagodzić. Nie brakło i ozdób estetycznych; były to malowidła wszelkiego rodzaju, zaczerpnięte głównie z Metamorfoz Owidyusza, nad drzwiami zaś obraz allegoryczny, który jeden z badaczy [1]) tak opisuje: Widać tam dwa statki miotane burzą, jeden płynie na pełne morze, oddalając się od brzegu; drugi, którego widać już tylko szczyt masztów, tonie. Trzech rozbitków płynie ku lądowi, gdzie wznosi się okrągła świątynia z kopułą; widać tam na piedestale statuę bożka brodatego, Neptuna. Być może, iż, jak zauważa Bennefon — widział tu Montaigne obraz swojej duszy. I on także wypłynął na pełnię oceanu walk życiowych, ale zaznawszy ciężkich przygód, może i rozbicia wszystkich nadziei, zawrócił do brzegu, by stąd okiem obserwatora patrzeć na drugich, śmielszych, czy zdaniem jego po prostu mniej rozumnych.

O bibliotece Montaigne'a nie mamy wiadomości ścisłych;

---

[1]) Bonnefon, o. c. I., 242.

cenny ten skarb darowała córka pisarza krewnemu, który niestety nie umiał rzeczy docenić, i dziś z całego księgozbioru, który w r. 1588 według świadectwa samego myśliciela liczył tysiąc książek, a później mógł się podwoić i potroić, udało się odnaleźć 76 dzieł, co do których dzięki własnoręcznemu podpisowi, a nieraz uwagom na marginesie, jest pewność zupełna, że należały do tej biblioteki. Zaginięcie tej olbrzymiej reszty jest wielką stratą dla nauki, ponieważ całe dzieło Montaigne'a to mniej rzecz pisana sama dla siebie jak raczej uwagi, glossy na marginesie czytanych i przemyślanych dzieł. Szczęśliwy przypadek zdarzył, że pewien bibliofil znalazł i nabył (za 90 centymów!) u antykwarza nadsekwańskiego egzemplarz komentarzy Cezara, który należał niegdyś do Montaigne'a, przez niego był czytany, i to gruntownie, bo opatrzony uwagami własnoręcznemi na marginesie; uwag takich jest przeszło 600 (na marginesie 336 stron druku), nadto odwrotna strona jednej z ostatnich kartek wypełniona jest cała syntetycznym sądem o Cezarze, pisanym widocznie pod wrażeniem co dopiero ukończonej lektury. Jest w tym nieocenionym egzemplarzu nawet data rozpoczęcia czytania (25 lutego 1578) i data ukończenia (21 lipca tegoż roku). Czytał więc filozof Cezara przez pięć miesięcy, czytał go z ołówkiem w ręku, czytał powoli, z zastanowieniem, od czasu do czasu ustęp ciekawszy zakreślał, albo spisywał kilkoma słowy własne refleksye. Oto niektóre z nich: „Razem wziąwszy, Cezar to jedno z największych cudów Natury. Gdyby ona była chciała oszczędniej rozdawać swoje względy, uczyniłaby zeń doskonale dwa twory godne podziwu: najwymowniejszy, najzwięźlejszy, najszczerszy z historyków, jacy byli, bo w tym dziale żaden Rzymianin mu nie dorówna, i cieszę się, że Cicero sądzi go tak samo; — i dowódca wojenny, pod każdym względem jeden z największych, jacy byli kiedykolwiek. Rozważając wielkość nieporównaną tej duszy, usprawiedliwiam zwycięstwo, iż nie mogło się od niego uwolnić, nawet w tej bardzo niesprawiedliwej i niegodziwej sprawie"... Są i zarzuty n. p., że Cezar „zbyt lekko zbywa wielkie zdarzenie śmierci Pompejusza". Wogóle jednak jest Montaigne pełen uwielbienia dla wielkiego Rzymianina i jego dzieła i twierdzi, że „książkę tę winien generał armii nieustannie mieć przed oczyma jako patrona, jak to czynił marszałek Strozzi, który ją umiał prawie na pamięć i który ją przetłomaczył". Uwagi te, często entuzyastyczne, są odbiciem pierwszych,

bezpośrednich wrażeń, doznanych przy samej lekturze; nie poprzestał jednak na nich myśliciel, i gdy w Essais przyszło mu mówić o Cezarze (a powraca do niego bardzo często [1]), to zdanie w niejednem modyfikuje, widzi dokładniej ujemne strony postaci, po prostu z oddali widzi lepiej i plastyczniej przedstawia, choć ogólny sąd, ogólne rysy, pozostaną te same, które uchwycił i utrwalił przy pierwszem czytaniu na owym ciekawym egzemplarzu. Ciekawe też, jak na sąd Montaigne'a wpływała nietylko lektura i własna refleksya, ale i obserwacya życia; i tak, po bardzo pochlebnym, nieraz entuzyastycznym sądzie o Cezarze w wydaniu Essais z r. 1580, kiedy Montaigne na własne oczy widzi nieszczęścia wojny domowej we Francyi, zaczyna też surowiej patrzeć na uwielbianego wodza rzymskiego, i w wydaniu z roku 1588 jest już więcej zastrzeżeń co do wartości Cezara, jako człowieka, między innemi zdanie wcale surowe: „Wstrętne mi są te wściekłe szamotania się tej nieokiełznanej duszy".

Oczywiście nie z każdem dziełem tak sobie poczynał, nie każde czytał tak sumiennie. Żadna z odnalezionych książek tej cennej biblioteki nie jest tak bogata w uwagi rękopiśmienne myślącego czytelnika. Uwagi na marginesie służyły mu do łatwiejszego zapamiętania rzeczy; sam się bowiem skarży na krótką pamięć, i stąd, jak powiada, „ukuł sobie pamięć papierową właśnie w postaci onych uwag, zapewne i wyciągów na osobnych kartkach,

---

[1]) Imię Cezara, jak obliczono, powraca w Essais nie mniej jak 92 razy. (Pierre Villey: les Sources et l'Evolution des Essais de Montaigne. Paris, Hachette 1908, I. 91). Pod tym bezpośrednim wpływem powstają dwa obszerne rozdziały (33 i 34) księgi drugiej, które znajdują się już w pierwszem wydaniu z r. 1580. Uderza tam między innemi to niekłamane uwielbienie dla wielkiego Rzymianina z powodu energii, z jaką dążył wytrwale do raz wytkniętego celu; opowiadając obszernie o jego zmysłowości i porównując ją z podobnemi słabościami innych postaci historycznych, podnosi z podziwem, że Cezarowi nie pozwoliły jego przyjemności stracić jednej minuty, zboczyć na jeden krok od sposobności, nadarzających się do jego wywyższenia; ta namiętność pracowała w nim tak bezwzględnie nad wszystkiemi innemi i posiadała jego duszę władzą tak pełną, że unosiła ją, gdzie chciała" (II, 33). Ta wytrwałość imponowała Montaigne'owi już w przyjacielu La Boëtie, i uderza go zwykle, zapewne dla tego, że sam jej nie posiadał, choć oceniał jej wartość. Ma się wrażenie, jakby sceptycyzm życiowy humanisty chwilami się załamywał, jakby chwilami zadawał sobie pytanie, czy przecież od tego machnięcia ręką na wszystko nie więcej warte jasne określenie sobie celu życia i energiczne dążenie do niego.

jak to później czynić będzie Bossuet, notujący także na marginesie (Bible du Concile) i zapełniający olbrzymie foliały wyciągami z Ojców Kościoła. Będzie jednak w tym zwyczaju obu moralistów pewna różnica: oto wielki kaznodzieja będzie zawsze pamiętał, co od kogo wziął i źródło sumiennie przytoczy, swoje własne myśli oddzielając wyraźnie od zapożyczonych skądinąd. Inaczej Montaigne, który nie przywiązuje wagi do dokładnego cytatu, owszem nieraz go przekształca („zniekształca", jak sam mówi), bierze zeń myśl potrzebną, która mu się podoba i czyni ją swoją: „co mi z niej zostaje — przyznaje się sam — tego już nie uważam za cudze", ale za swoje własne. Tak będzie postępował później Fénelon, przygotowujący w niejednem wiek XVIII, i tenże wiek XVIII też przyzna się przedewszystkiem do Montaigne'a i będzie go kontynuował. Indywidualizm bowiem, cecha tak charakterystyczna Fénelona i wieku XVIII, był już podstawowym rysem duszy Montaigne'a.

Samo powstanie jego dzieła jest klasycznym tego objawem. Zrazu nie ma młody humanista zamiaru pisać, zapewne nie przypuszcza w sobie zdolności ku temu. Chce się on po prostu nie nudzić, chce czemkolwiek czas wypełnić i, znajdując w książce środek do tego celu, czyta jedną po drugiej; ale jego bystry umysł, uderzony jest od czasu do czasu jakimś faktem czy uwagą, sentencyą pisarza, podkreśla ją więc, a nawet zapisuje osobno; te zapiski się mnożą. Montaigne, odczytując je, czy też już przy notowaniu, snuje sam dalej wątek poruszonej myśli, i te własne już myśli również spisuje, a odczytując je w jakiś czas, widzi, że one są ujęciem rzeczy równie indywidualnem, jak zdania onych czytanych autorów i mogłyby stać się materyałem do dzieła własnego; to dzieło też powstaje i ukazuje się w druku w r. 1580. Autor ofiarowuje je osobom, wysoko postawionym w świecie literackim i politycznym aż do samego króla; otrzymuje zewsząd podziękowania i gratulacye; rzecz ma dość wielkie powodzenie; a co najważniejsze, pisarz nabiera pełnej świadomości, że dzieło to ma istotną wartość, że było czemu tyle lat poświęcić, że życie jego nie jest stracone, nie jest czcze, że ma je czem wypełnić. Zdaje sobie też zapewne sprawę, na czem osobliwość tego dzieła i jego wartość polega; bo nie pisze on już dzieł innych, ale resztę życia poświęca rozszerzaniu, uzupełnianiu tego jednego i jedynego dzieła, którego treść i pomysł są w swoim rodzaju jedyne. To pierwsze

wydanie obejmuje tylko dwie księgi „szkiców"; cała księga trzecia powstała w latach późniejszych; i nie tylko ona, ale i bardzo liczne dodatki do dwóch poprzednich; tych dodatków naliczono nie mniej, jak 536, tak, że ze skromnego tomika urosło spore dzieło (w tłomaczeniu Boya obejmujące 5 tomów).

Nie tylko praca, wysiłek męczy, ale i jednostajność. To też Montaigne mimo całej przyjemności, jaką mu dawało czytanie książek, pisanie „szkiców", a następnie zapewne i wydanie ich, nad którem sam osobiście czuwał, uczuł potrzebę wypoczynku i po kilku latach siedzenia w swej ukochanej bibliotece postanowił ją na pewien czas opuścić [1]. Nie miał to być powrót do świata, który w zniechęceniu był porzucił, i za którym nie tęsknił bynajmniej, ale poprostu odmiana wrażeń, urozmaicenie bądźcobądź monotonnego trybu życia. Znając filozofię wygody autora „Szkiców", trudno tego motywu nie uznać za pierwszy. Lecz nie był on jedynym. Montaigne dotąd podróżował niejako po przeszłości, studyując z zajęciem dzieła historyków, podróżował po tylu ciekawych krainach myśli ludzkiej, czytając filozofów, moralistów; cóż dziwnego, że uśmiechnęła mu się myśl uzupełnienia tej podróży ideowej, bo poprzez książki, podróżą realną w krainie rzeczywistości; będzie ona znakomitem uzupełnieniem tamtej, tem bardziej, że umysł tą pierwszą podróżą jest dobrze przygotowany do drugiej; tyloletnie studyum wysubtelniło myśl, zaostrzyło zmysł spostrzegawczy. Słowem, było to bardzo szczęśliwem, że Montaigne tę podróż odbył nie za wcześnie, przed rozmiłowaniem się w nauce, ani też za późno po definitywnem ukończeniu owego dzieła, mógł bowiem w ten sposób korzystać w podróży z bogatych swych wiadomości; a następnie ze samej podróży zdążył jeszcze wyciągnąć obfite korzyści przy poprawianiu i uzupełnianiu swych

---

[1]) Ciekawym jest to fenomenem, że Montaigne nie lgnął do środowiska intelektualnego, jakim był już wtedy Paryż, tylko pozostał, ściśle biorąc, całe życie w swym zamku, zdala od miasta, gdzie oczywiście stykał się z ludźmi (był bardzo gościnny), ale przeważnie i znacznie niższymi od siebie. Dowodzi to natury kontemplatywnej, skupionej w sobie, której najmilszem zajęciem była właśnie myśl, myśl własna, indywidualna, z której wyrosło jego wielkie dzieło. Nadto ten wielki badacz i znawca *Człowieka* bardzo wcześnie doszedł do poznania tej prawdy, którą wypowiedział w „Szkicach", że „dusze cesarzy i mydlarzy są z jednej mąki".

„Szkiców", których ostatnie za życia autora (V) wydanie z r. 1588 rozmiarami przechodzi dwukrotnie wydanie pierwsze.

W dwa wieki później, bo w r. 1774 pewien kanonik, niejaki X. Prunis znalazł na zamku Montaigne'ów cenny dziennik tej podróży [1]), pisany w jednej trzeciej części przez służącego pisarza pod jego dyktatem; reszta to autograf wielkiego moralisty [2]). Rzecz ta mniej należy do literatury, bo pisana dorywczo, widocznie bez myśli ogłoszenia, nie posiada wartości artystycznej „Szkiców"; ale za to do poznania człowieka jest przyczynkiem nieocenionym; źródło to przedewszystkiem pewniejsze, bo Montaigne pisze tylko dla siebie, a więc jest szczerym, jakim nie zawsze bywa, gdy pisze dla publiczności.

Szczerość tę miałoby się ochotę nazwać za daleko idącą, czasem zabawną, gdyby notatki, pisane nie dla publicznej wiadomości, ot poprostu zapiski prywatne, nie były tem samem poza rejonem krytyki. Mianowicie niezmiernie tu wiele miejsca zajmuje choroba pisarza. Jest to bowiem jedno z najrealniejszych jego cierpień, które wprawdzie umie sobie do pewnego stopnia złagodzić swoją filozofią, nad którem istotnie panuje swoim pogodnym umysłem, ale które ostatecznie od czasu do czasu daje mu się dotkliwie we znaki, tem dotkliwiej, że Montaigne, jak widzieliśmy, z natury jest bardzo wrażliwy, a choroba, trapiąca go od mniej więcej 47 roku życia, odziedziczona prawdopodobnie po ojcu, należy do nader bolesnych (kamienie żółciowe). Od dziecka tej właśnie choroby bał się najbardziej, bo widział, ile od niej cierpiał

---

[1]) Cytuję według pierwszego wydania z r. 1775: Journal du voyage de Michel de Montaigne en Italie par la Suisse et l' Allemagne en 1580 et 1581. Avec des Notes par M. de Querlon. A Rome. Et se trouve à Paris, chez Le Jay, Libraire, rue St. Jacques. MDCCLXXV (3 tomy).

[2]) Przejście od dyktowanego pamiętnika do pisanego przez samego filozofa jest ciekawe. Dowiadujemy się mianowicie, że sekretarz został odprawiony, a iż praca „już tak daleko postąpiła", więc Montaigne'owi żal ją urywać, i sam pisze dalej, „jakby to niewygodnem nie było". Ma się z tego wrażenie, że ludziom świeckim owego czasu wysiłek pisania był ciężkim; zapewne sprawiało to fizyczne natężanie tej ręki przy jeździe konno, fechtunku i t. p. Montaigne jedno i drugie lubi, a całą podróż odbywa konno, stąd mu „niewygodnie" poruszać lekkiem piórem. Może i w tem leży racya dawniej tak powszechnego używania w pisaniu o sobie trzeciej osoby, bo ściśle biorąc nie Cezar, nie Montaigne pisze, ale ich sekretarz. „Essais" pisane są w pierwszej osobie, bo przez samego myśliciela.

jego ojciec. To też robił co mógł, by się od niej uwolnić lub bodaj ulżyć sobie w dolegliwościach. A niezawsze było to łatwem; albowiem nasz filozof, podobnie jak Molier, Rousseau i wogóle zwolennicy filozofii natury, serdecznie nie lubił medycyny i jej przedstawicieli. Dowcipów, anegdot, uwag złośliwych pod ich adresem pełno w dziele Montaigne'a. Zachęcającym go do brania lekarstw odpowiada, by zaczekali przynajmniej, aż powróci na tyle do sił i zdrowia, by łatwiej mógł znieść skutki i rezyko ich eliksirów (I, 23); „mają oni to szczęście, mówi gdzieindziej (II, 37) o lekarzach, że słońce oświeca ich powodzenie, a ziemia kryje ich błędy". Montaigne, zupełnie jak później Molier, wierzy w dobroć natury nawet w rozumieniu fizycznem; „pozwólmy trochę działać naturze; ona rozumie się lepiej na swoich sprawach od nas; — ale ten lub ów umarł z tego! — I ty umrzesz, nie z tej to z innej choroby: a iluż to nie omieszkało umrzeć, mając trzech lekarzy przy sobie?... trzeba znosić cierpliwie prawa naszego bytowania: jesteśmy na to, by się starzeć, by słabnąć, by chorować na przekór wszelkiej medycynie" (III, 13). I autor „Essais" pewnieby, podobnie jak Molier, padł ofiarą swojej filozofii, gdyby ją brał bardzo konsekwentnie; ale na szczęście tego nie uczynił, i, ściśle biorąc, leczył się przez całe życie; zwłaszcza wierzył w skuteczność kąpieli, o których wypowiedział zdanie na owe czasy bardzo postępowe, że mianowicie „narażamy nasze zdrowie na wcale nie lekkie szkody przez to, iż zatraciliśmy ten zwyczaj, w minionych czasach ogólnie praktykowany,... by zmywać ciało swoje codziennie", i uzasadnia to bardzo trafnie filozof, dziwiąc się, że „trzymamy tak nasze członki oskorupione i pory nasze pozatykane tłuszczem" (II, 37). Wierzy on także w skuteczność picia wód mineralnych, „najpierw" dlatego, że mu one smakują, po drugie, iż wydaje mu się taka kuracya „naturalną i prostą" (i, jeżeli nie pomaga, to „przynajmniej nie szkodzi", jak dodaje złośliwie).

Jemu zresztą ona naprawdę pomaga i dlatego często jeździ do wód, zrazu francuskich, później także zagranicznych, i wielka podróż, o której mowa, miała za cel nie tylko rozrywkę i rozpatrzenie swych widnokręgów, ale także kuracyę, a we wspomnianych notatkach z podróży kuracya ta zajmuje niezmiernie wiele miejsca; jest to całemi kartkami notatnik kuracyjny, stanowczy dla historyi medycyny z pewnością dokument wcale ciekawy, nie

pozbawiony dziś dla nas humorystyki [1]). Stanowisko Montaigne'a wobec medycyny jest mniej więcej takiem, jak wobec filozofii i wogóle wiedzy ludzkiej, streszczające się w sławnem odtąd: *que sais-je?* co ja wiem? On się waha, zawiedziony między uznaniem a przeczeniem, gotów na jedno i drugie się zdecydować; istotnie tę decyzyę czyni, gdy jeden środek wyśmiewa i odrzuca, a drugi stosuje, oczywiście z wiarą, że pomoże, tak jak z tą wiarą od jednych wód do drugich jeździ.

Podobnie zachowuje się wobec tego, co słyszy w tej podróży o różnych nadzwyczajnych zdarzeniach czy zjawiskach, które zapisuje już to z niedowierzaniem, już też z zupełną wiarą, skoro dodaje, że wie to od wiarogodnych, jeszcze żyjących świadków, lub widział ślady onego faktu. Nie jest to groteskowa łatwowierność, do grubej zabobonności posunięta, jaką widzimy u Lutra, ale jest dalekowidząca naiwność, która nas dziś u tego kulturalnego humanisty zastanawia; dowodzi ona co prawda tylko tego, że umysł ludzki wznosi się nie odrazu, ale stopniowo ponad wiekami całymi wznawiane wyobrażenia i naiwność wiekowych pokoleń. I tak między innemi słyszy nasz podróżny w Villi Françcis o mężczyźnie, „który był dziewczyną do 22 roku życia", co filozof zapisuje całkiem poważnie, dodając, że ów człowiek jeszcze żyje, tylko podróżni „nie mogli go zobaczyć, bo był właśnie we wsi;" ale „Ambroży Paré umieścił to opowiadanie w swej książce o Chirurgii, i które to zdarzenie jest bardzo pewne i jako takie zostało poświadczone przez najpoważniejszych urzędników miasta".

Ciekawe też jest stanowisko Montaigne'a względem religii; o ile jako filozof, w bardzo zasadniczych punktach staje w biegunowem przeciwieństwie do Chrystyanizmu, to, jako człowiek, okazuje się w tym właśnie całkiem szczerym pamiętniku podróży wierzącym katolikiem. Nie tylko pielgrzymuje — jak później Descartes — do

---

[1]) Oto przykład, jeden z bardzo wielu: „W poniedziałek rano wypiłem w 13 szklankach $6^1/_2$ litrów wody ze źródła; oddałem około 3 litrów wody białej i surowej przed obiadem, a resztę powoli. Jakkolwiek mój ból głowy nie był ani ciągły, ani bardzo gwałtowny, sprawiał jednak, że cerę miałem bardzo złą. Nie czułem jednak omdlenia ni słabości, jak dawniej niekiedy, tylko ciężar na oczach i pewne zamglenie wzroku"... Mieszanina w tych zapiskach bywa istotnie zabawna, n. p. tuż po uwadze, że Cesarz „jest w małem poważaniu w Niemczech", następuje tylko kropką oddzielone zdanie: „Woda, którą pan de Montaigne pił we wtorek, sprawiła, że miał trzykrotny stolec".

Loretto, zawiesza tam votum przed cudownym obrazem Matki Boskiej, przystępuje do Sakramentów, tu, jak i w Rzymie, ale powtarza bez cienia sceptycyzmu różne cudowne zdarzenia, o jakich mu opowiadają nieraz z dawnych wieków (np. z r. 1384, I. 112), cieszące się względną tylko wiarą w samym Kościele dla ich zbytniej oryginalności... Ta religia jest filozofii prawdziwą pociechą, jak to wynika z tego westchnienia: „Bóg to czyni, niech się dzieje jego wola!“, jakie mu się dobywa przy groźniejszym objawie choroby. Refleksyj filozoficznych w pamiętniku jest niezmiernie mało; jedną z tych bardzo niewielu to uwaga z powodu ponownych cierpień: „Byłaby to z mej strony zbyt wielka słabość i tchórzostwo, gdybym nie czynił wszelkich wysiłków, by módz znieść śmierć bez cierpienia, gdy chwila przyjdzie, skoro tak pewny jestem, że w ten sposób zginę, a śmierć każdej chwili zresztą się zbliża. Bo ostatecznie rozum nam każe z radością przyjąć dobro, jakie się Bogu spodoba nam zesłać. Otóż jedyny środek, jedyna reguła i jedyna umiejętność, by uniknąć wszystkich tych cierpień, które osaczają człowieka ze wszystkich stron i o każdej porze, jakiekolwiek one są, to być gotowym cierpieć je po męsku, albo je zakończyć odważnie i szybko“. Słusznie zauważa jeden z interpretatorów (Querlon), że przez ostatnie zdanie nie należy rozumieć samobójstwa, ale raczej zaniechanie wszelkiego leczenia i przyspieszenie tem śmierci.

Na ogół jednak Montaigne nie filozofuje, tylko zbiera wrażenia, które zużytkuje w przyszłości, pogłębiając swoje Essais. Natura tych wrażeń nas dziś zastanawia; pokazuje się bowiem, jak u tego humanisty, ale humanisty północy, jest mało wrażliwości na samo piękno, która tak zasadniczo charakteryzuje współczesnego Włocha. Tego człowieka północy mniej, niż dzieła sztuki, zajmują rzeczy osobliwe [1]). Dla przykładu wystarczy przytoczyć wrażenia myśliciela doznane we Florencyi. Z dzieł sztuki uderza go jedynie kościół San Lorenzo, gdzie wiszą jeszcze sztandary,

---

[1]) Więcej już znajdujemy tu wrażliwości na piękno przyrody, choć wyraz temu daje pisarz nader skromny; ale wrażeń tych poszukuje, zdaje się, chciwiej niż wrażeń po muzeach. Gotów wspinać się na górę, skąd ma „przepiękny widok“ i odczuwa przyjemność, patrząc „na tę wielką równinę, morze, wyspy, Livorno, Pizę“. Podobnie w drodze z Werony do Vicenzy: „Przejeżdżaliśmy przez długą równinę rozmaitego kształtu, już to urodzajną, już inną, mając góry bardzo daleko po naszej ręce lewej, a niektóre po prawej“.

któreśmy stracili pod marszałkiem Strozzim w Toskanie. W tym kościele jest kilka okazów płaskiej malatury i bardzo piękne, znakomite rzeźby roboty Michała Anioła". I to wszystko o sztuce we Florencyi r. 1580! Zresztą pierwszego dnia zwiedzali podróżni stajnię książęcą, gdzie niestety „wielu cennych koni" nie znaleźli, zato zobaczyli tam „barana o bardzo dziwnych kształtach", a także wielbłąda, lwy, niedźwiedzie, a wreszcie zwierzę dziwne, „które zwią tygrysem". Nawet na katedrze, która mu się bardzo podoba zdaje się go więcej od piękna zajmować szczegół, badany na dachu przez samego Montaigne'a, że mianowicie marmur tam użyty wydaje mu się podejrzany, bo się dziwnie psuje na słońcu i mrozie. Za to nieproporcyonalnie wiele miejsca zajmują szczegóły, dotyczące sposobu jedzenia, jakości potraw, wygód w mieszkaniach itp., wreszcie osobliwości obyczajowe wszelkiego rodzaju aż do tego iście renesansowego uzdrojowiska dla zwierząt (niedaleko Montefiascone), gdzie „były właśnie psy kardynała Farnese umyślnie dla kąpieli tu sprowadzone".

Jak w domu, tak w podróży lubi filozof swobodę, stąd podoba mu się we Włoszech nienatarczywość ze strony gospodarzy, bo „uprzejmości bywają niekiedy męczące i nudne"; tu zaś rzadko otrzymywał wizyty mieszkańców: „Spałem i studyowałem wedle upodobania; a gdy zechciałem wyjść, znajdowałem wszędzie towarzystwo kobiet i mężczyzn, z którymi mogłem gawędzić kilka godzin dziennie; a potem sklepy, kościoły, place i zmiana ciągła miejsca; nie brakło mi materyi do nasycenia mej ciekawości". Skarży się jedynie, iż jest „zmuszony używać tych dóbr (tj. wrażeń i przyjemności podróży) sam, i nie mogąc niemi dzielić się z innymi".

Najciekawsze dla nas są wrażenia, jakich doznał Montaigne w Rzymie. Są to wrażenia humanisty, dla którego Rzym to przedewszystkiem starożytna Roma, Urbs; to też na widok spustosze-

---

[1]) Szczególnie zajmuje humanistę jazda konna i szermierka, często do tego powraca, n. p. w Rzymie odwiedza pewnego Włocha, który dłuższy czas spędził w Turcyi i „nauczył się dużo rzadkich rzeczy w sztuce jazdy konnej;" z zajęciem wielkiem przygląda się filozof jego popisom i opisuje takowe dokładnie. Nasuwa się mimowoli refleksya: dlaczego też ten humanista północy nie odwiedził ani jednego malarza czy rzeźbiarza — on, który zawiera osobiste znajomości z ludźmi wszelkich warstw od kurtyzan do kardynałów, a właściwie do samego Papieża, u którego ma długą audyencyę?

nia tej Romy serce mu się kraje: „Ci, którzy mówili, że widać tu przynajmniej ruiny Rzymu, powiedzieli za wiele... Świat, nieprzyjaciel jego długiego panowania, połamał i potłukł najpierw wszystkie części tego przedziwnego ciała, a ponieważ cały umarły, obalony i zniekształcony jeszcze budził w nim lęk, więc zakopał nawet jego ruinę. Te zaś drobne ślady jego ruiny, sterczące jeszcze ponad trumną los zachował na świadectwo tej wielkości nieskończonej, której nie zdołało w zupełności zgasić tyle wieków, tyle pożarów, sprzysiężenie świata na jego zgubę tylokrotnie ponawiane... Budowle tego Rzymu bękarciego („Rome bastarde“), który przyczepia się dzisiaj do tych rumowisk, choć i mają czem zachwycać nasze wieki obecne, przypominały mu (Montaigne'owi) właściwie one gniazda, jakie wróble i wrony przyczepiają we Francyi u sklepień i ścian kościołów, zburzonych niedawno przez Hugenotów“. Charakterystycznym jest już ton tych uwag, pełen liryzmu, rzadkiego u Montaigne'a wogóle, a w szczególności tutaj wśród suchych notatek podróżnych. Jest to tęsknota do przeszłości, tej przeszłości klasycznego świata, która opłacała Montaigne'owi, jak wszystkim humanistom, ludzi i dzieje starożytnej Romy do tego stopnia, że zasłaniała to, co najpiękniejszego ludzkość wydała w gmachach renesansu, rzeźbach Michała Anioła, płótnach Rafaela, a co wszystko wydało się wobec przeszłości starożytnej niby „gniazdo wróbli i wron“ wobec pięknego gotyku, i stąd ta silna nazwa „Rome bastarde“, która w ustach zrównoważonego autora „Szkiców“ tem bardziej zastanawia. Z tego też widać (co w pamiętniku podróży na każdym kroku uderza), że humanista francuski był wrażliwszy na treść, na wrażenia treści: ludzi, faktów, dziejów, aniżeli na wrażenia formy; pod względem zmysłu artystycznego stoi on, jak wogóle ludzie północy, daleko poza współczesnymi Włochami, którzy z takim entuzyazmem witali powstanie każdego z arcydzieł swych mistrzów; owszem, zachwyceni, olśnieni pięknem kształtów, zapominali zupełnie o treści i dzieł i życia samego, która to „*indifferenza del contenuto*“ budziła tyle zgorszenia u ludzi północy — głównie u germańskich podróżnych (z Lutrem na czele), bo Francuzi, a w ich liczbie przedewszystkiem Montaigne, mieli więcej rozumienia i wyrozumienia rzeczy i ludzi — jako starsi kulturą i z natury już subtelniejsi umysłem.

Ciekawe jednak, jak wielki Montaigne nawet do tych starożytnych zabytków, które wprost wzruszające na nim robią wraże-

nie, nie przykłada zgoła miary estetycznej; nie zajmuje go n. p. piękno Panteonu — tak dobrze przecie zachowanego — o nim wogóle nie wspomina; imponują mu natomiast, jak w amfiteatrze Werony i wielu innych wypadkach, przedewszystkiem rozmiary, a także wielka liczba gmachów i zastanawia się, jak na takiej względnie małej przestrzeni mogło się to wszystko pomieścić, np. jak na kapitolu, gdzie ledwie dość miejsca się wydaje na dwa gmachy, mogło kiedyś być 25 lub 30 świątyń prócz domów prywatnych. Zdaje się, mamy tu przed sobą obraz w miniaturze tego kształtowania się zmysłu estetycznego, jaki na szerszej widowni dziejowej dały nam całe narody, kiedy to pierwszą fazą piękna był ogrom lub osobliwość (piramidy, sfinksy), a dopiero powoli indywidualny duch Hellady wydał wyższą koncepcyę piękna linii, za czem — bardzo późno zresztą — poszło pojęcie harmonii barw. Otóż Montaigne na barwy najmniej jest wrażliwy, nawet w przyrodzie, a tem mniej, zdaje się, w sztuce; więcej już mówi mu rzeźba; podnosi to, że woli rzeźbę od malarstwa, ale stanowczo najbardziej go uderza i imponuje mu ogrom lub osobliwość. Wszystko to jednak ożywia intelekt; Montaigne'a rzecz samaby nie uderzyła, gdyby intelekt nie przyszedł do świadomości, że ten gmach, ta ruina pochodzi ze starożytności klasycznej, albo że posiada inny jaki tytuł do znaczenia, i stąd chętnie odcyfrowuje napis lub datę wyrytą w kamieniu. Słowem, u tego humanisty północy nie znać bardzo zdolności do zachwycania się pięknem samem w sobie; on musi mieć treść także, nie tylko formę — i ta treść, ten pokarm intelektu jest dla niego zawsze ważniejszy; jest on niepodobny do włoskiej *indifferenza del contenuto.*

A będzie to stanowczo istotna wyższość narodów północy i odda im berło myśli i wogóle kultury ludzkości; albowiem rozwijają one wpierw kulturę myśli, a uzbrojeni w nią, nie pozwolą już kulturze estetycznej zapanować tak wyłącznie nad ich psychiką, jak się to stało we Włoszech. Będą one w sztuce widziały ważny współczynnik kulturalny, obok innych, ważniejszych, zwłaszcza kultury moralnej i intelektualnej, i tem będą dojrzalsze, poważniejsze, a więc ostatecznie kulturalniejsze.

Nie chciał jednak wielbiciel Romy opuszczać Wiecznego Miasta bez trwalszej i bardziej zaszczytnej dla siebie pamiątki, jaką miał być dyplom obywatelstwa rzymskiego: filozof uznaje, że „to czczy tytuł“, mimo to jednak „doznał wielkiej przyjemno-

ści, otrzymując go;“ przyznaje się też, iż użył do dopięcia tego zaszczytu „wszystkich swych pięciu zmysłów“; nie omieszka też w późniejszem wydaniu Essais (III, 9) przytoczyć tekstu tego dyplomu w całej rozciągłości. Wogóle o to, by sobie módz powiedzieć: *non omnis moriar*, dbał filozof sumiennie; gdzie się da, ofiarowuje swój herb rodzinny („bardzo ładnie namalowany, który kosztował 2 skudy malarzowi i 20 soldów stolarzowi), na wszelkie zaś objawy uznania szacunku jest ogromnie wrażliwy i nie omieszka wyliczyć i opisać podarunków otrzymanych, jak i prezentów, jakimi sam się ofiarodawcom odwzajemniał.

Dla Francuza charakterystyczna też jest wrażliwość na „ładne kobiety“; niemal w każdej miejscowości, gdzie trochę dłużej przebywa, notuje osobno, czy są tam ładne kobiety, czy ich brak, przyczem nierzadko opisuje ich strój bardzo dokładnie, czasem i szczegóły obyczajowe.

Wszędzie udziela się towarzysko, rozmawia wiele, by poznać ludzi, ich obyczaje i sposób myślenia. W krajach protestanckich chętnie wdaje się w dyskusye teologiczne; dowodzenia Montaigne'a, podane szczegółowo, wskazują, jak te kwestye wówczas zajmowały umysły i jak skutkiem tego wyszkolenie teologiczne nawet u świeckich bywało rozległem. Autor „Szkiców“, na pozór czy ponad różnicami wierzeń się trzymający, ma widocznie przeświadczenie o wyższości i jedynej prawdziwości religii katolickiej, której w onych dyskusyach broni energicznie. Notuje też skrzętnie nielogiczności lub ujemne strony, jakie spostrzegł u protestantów, zwłaszcza razi go „zwykła nienawiść“, jaką żywią sekty protestanckie jedna do drugiej, kilkakrotnie do tego powraca; cytuje między innemi powiedzenie jednego z doktorów protestanckich, który zawołał, że wolałby raczej słuchać stu mszy, niż uczestniczyć w wieczerzy kalwińskiej. O szwajcarskich protestantach zaś zauważa, że nie czynią sobie żadnego skrupułu ze względu na religię, „służyć królowi przeciw hugenotom nawet“ [1]).

---

[1]) W Rzymie też widzi Montaigne poselstwo z Moskwy, które właśnie przybyło do Papieża z prośbą, by ten wpłynął na króla polskiego, aby zaniechał wojny z Moskwą. Montaigne nietylko opisuje strój posła bardzo dokładnie, ale i argumenty, jakimi starał się skłonić Papieża: że mianowicie Polska utrudnia Moskwie walkę z Turcyą, tak niebezpieczną dla chrześcijaństwa, że zresztą Moskwa gotowa ustąpić co do tych „paru różnic“, jakie ją dzielą z Kościołem rzymskim. Opowiadał też ów poseł, że z wielkiem niebezpieczeństwem przedostał się

Wśród pobytu w kąpielach Della Villa otrzymuje filozof-kuracyusz dnia 7 września 1791 r. z domu wiadomość, że został „jednogłośnie“ wybrany maire'm miasta Bordeaux, oraz prośbę by urząd ten przyjął „z miłości dla ojczyzny“. Nowemu dygnitarzowi nie spieszno jednak z powrotem; tego samego dnia po obiedzie jedzie „sam konno“ oglądać małę wioskę Gragnaiola, „położoną na szczycie jednej z najwyższych gór tych okolic“, i tutaj odkrywa najpiękniejsze, najurodzajniejsze i najmilsze pagórki, jakie można oglądać. Dopiero 12 września wybiera się w drogę, zresztą bardzo powolną i bynajmniej nie prostą, powraca jeszcze do Rzymu, a stąd dopiero na północ, tak że na zamku „przodków“ Montaigne staje d. 30 listopada 1581 i zastaje tu list samego króla francuskiego Henryka III: „Panie Montaigne — pisze monarcha — ponieważ wielce cenię twoją wierność i gorliwe oddanie się mojej służbie, była to dla mnie przyjemność usłyszeć, że zostałeś wybrany głową mego miasta Bordeaux; bardzo mi to jest miłem i zatwierdzam rzeczony wybór, a to tem chętniej, że został dokonany bez zabiegów i podczas twojej dalekiej nieobecności“... Montaigne oczywiście przyjmuje wybór nie bez pewnego zadowolenia wewnętrznego i odcienia dumy, która przebija się i w „Szkicach“, gdy o tem mówi (III, 10): „Jest to urząd, który musi wydawać się tem piękniejszy, że nie ma zapłaty ani zysku innego prócz zaszczytu sprawowania go. Trwa on dwa lata, ale może być przedłużony przez drugi wybór, co się bardzo rzadko zdarza: zdarzyło się mnie właśnie, a miało miejsce tylko dwa razy przedtem“. Ale równocześnie zwolennik filozofii wygody, przeciwnik wszelkiego wysiłku, przymusu, zastrzega się i to wyraźnie oświadcza swym wyborcom, że nie myśli pójść za przykładem swego ojca, który, ten sam urząd sprawując, poświęcił mu swój spokój, zdrowie, bez mała życie. Podziwia on go szczerze z tego powodu, ale równie szczerze wyznaje, że nie ma ochoty iść za jego przykładem: „Odmalowałem im się wiernie i sumiennie całkiem takim, jakim czuję, że jestem, bez pamięci, bez czujności, bez doświadczenia i bez siły; bez nienawiści także, bez ambicyi, bez chciwo-

---

przez Polskę. — Nadto w Rzymie poznał Montaigne „pewnego Polaka, najbardziej zaufanego przyjaciela kardynała Hozyusza, który mu ofiarował dwa egzemplarze książeczki, jaką napisał o śmierci jego, i własnoręcznie je poprawił“.

ści i bez gwałtu: aby byli poinformowani i pouczeni o tem, czego mają się spodziewać po mojej służbie“ (Essais III, 10).

Jednakże z czasem odnalezione dokumenty okazują w urzędowaniu Montaigne'a pewne cechy charakteru, niezmiernie sympatyczne, któreby mogły dziwić u tego filozofa wygody, gdybyśmy nie wiedzieli, że wogóle jego życie było lepszem od jego filozofii. Przedewszystkiem ma on naprawdę wiele współczucia dla cierpień ludzkich; a jeżeli to współczucie ma swe źródło w wielkiej wrażliwości pisarza, a więc w jego naturze, to jednak wysiłki skuteczne dla ulżenia tych cierpień są już jego rzetelną zasługą. Miło tedy czytać podpis maire'a na rozporządzeniu, ujmującem się za dolą podrzutków (które istotnie zostało w czyn wprowadzone); a jeszcze więcej zyskuje autor „Szkiców“ niezmiernie ciekawym memoryałem, przedłożonym samemu królowi, gdzie już nie tylko przejawia się współczucie dla cierpiących, ale i cywilna odwaga wcale niepośledniej miary. Jest to mianowicie skarga na niesprawiedliwe rozłożenie ciężarów, a nadto na wygórowane koszty dochodzeń sądowyeh „tak, że ubodzy, jako nie mający środków na tyle opłat, są najczęściej zmuszeni zaniechać dochodzenia swych praw, i coby powinno być użytem na utrzymanie ich rodzin albo zaspokojenie potrzeb publicznych, bywa w ten sposób wydawane dla zaspokojenia ambicyi pewnych jednostek ze szkodą ogółu“... I przypomina dalej „nędzę tak wielką“ i „nieszczęścia wojen domowych, że wiele osób... doprowadzonych jest do żebractwa, tak iż po miastach i polach widać tłum rozkiełznany ubogich“... kończy się dokument konkretnemi propozycyami.

Urzędowanie filozofa nie zapisało się w dziejach miasta napozór nadzwyczajnymi czynami ani faktami; a jednak wystarczy trochę poznać te czasy, by właśnie w braku tych nadzwyczajności widzieć istotną zasługę maire'a i jego wybitny talent nawet na tem od literatury tak odległem polu. Albowiem nie było to łatwem wśród takich namiętności religijnych i osobistych utrzymać spokój w mieście i prowincyi. A były pod koniec urzędowania sytuacye bardzo naprężone i trudne, zwłaszcza gdy namiestnik królewski, marszałek de Matignon musiał wyjechać na pewien czas z miasta, i cały ciężar odpowiedzialności spadł na barki prezydenta. Nie było dnia, żeby nie obawiano się rozruchów, nie grożono nimi, nie zapowiadano ich; albowiem w Bordeaux miały obie partye (katolicka i protestancka) swych zapalonych zwolenników. I oto

ten wygodny filozof-prezydent przebiega nocą ulice miasta, oraz całą noc czuwa w porcie wobec wiadomości o mającym nadpłynąć statku, pełnym ludzi uzbrojonych; codziennie przesyła namiestnikowi szczegółowe relacye, ale i nagli go do powrotu; równocześnie jednak zapewnia, że „ani starań, ani w razie potrzeby życia nie będzie szczędził dla zachowania wszystkiego w uległości królowi“.

Urzędowanie Montaigne'a miało się ku końcowi, gdy zaszły okoliczności, wśród których odwaga filozofa się zachwiała, i na imię jego padł cień, którego wielbicielom jego nie udało się w zupełności usunąć. Oto w r. 1585 wybuchła w mieście dżuma; w czasie, kiedy nie znano istoty tej choroby, a więc i środków zaradczych, rozmiary klęski były straszne; w przeciągu siedmiu miesięcy zmarło więcej, niż 14.000 osób. Kto tylko miał środki do życia poza miastem, uciekał, nie wyłączając urzędników miasta. W chwili wybuchu zarazy Montaigne'a w mieście nie było; nadto były to ostatnie dwa dni jego urzędowania. Otóż, otrzymawszy złowrogie wieści oraz wezwanie do powrotu, dał odpowiedź odmowną. W liście do Rady Miasta tłomaczy się, że uważa swój powrót za zbyteczny, ponieważ i tak potrzebnyby tam był tylko dla złożenia urzędu i asystowania nowym wyborom, a tem by nic nie pomógł; stąd nie uznaje, aby warto mu było „narazić się pójściem do miasta, zważywszy zły stan, w jakim się ono znajduje, zwłaszcza dla ludzi przychodzących z powietrza tak dobrego, na jakiem ja jestem... Przybliżę się w środę najbliżej do was, jak tylko będę mógł, to jest do Fenillas, jeżeli choroba tam nie dotarła, w którem to miejscu będę uszczęśliwiony mieć zaszczyt widzieć kogo z pośród was“... List ten datowany jest z Libourne dnia 30 lipca; nazajutrz kończyło się urzędowanie Montaigne'a. Z tego wynika, że nie miało tu miejsca jakieś niższego rzędu tchórzostwo i zaniedbanie obowiązku, o które się wielkiego pisarza jeszcze niekiedy posądza. Inna rzecz, że postępek ten nie był rycerski, i Montaigne, dodający do poprzednich, pięknych aktów swego urzędowania jeszcze mężne i pełne poświęcenia wytrwanie na swem stanowisku w tak ciężkiej dla miasta swego chwili, taki Montaigne byłby bohaterem. Otóż tym autor „Szkiców“ nie był, a nie był nim właśnie dla swej filozofii wygody, nad którą nieraz już w życiu wzniósł się szczęśliwie, czyniąc się lepszym od swej doktryny, nad którą jednak tym razem wznieść się nie potrafił.

Krytycy (Bonnefon, Stapfer i inni) lubią zgodnie powtarzać, że nikt z współczesnych nie wyrzucał pisarzowi jego postępowania. Tymczasem sam Montaigne temu przeczy, kiedy powiada, co następuje (Essais, III, 10): „Wszystkie sprawy publiczne poddane są niepewnym i różnym tłomaczeniom, bo za wiele głów o nich sądzi. Niektórzy mówią o tem mojem stanowisku w mieście,.. że zachowałem się tam, jako człowiek, który się wzrusza zbyt tchórzliwie...“; poczem następuje formalne usprawiedliwianie się swoją „naturą powolną“, z której jednak „nie należy wyciągać żadnego dowodu bezsilności, a mniej jeszcze zapoznania i niewdzięczności względem tego ludu, który użył wszystkich najdalej idących środków, które miał w swych rękach, by mi okazać swe względy i przed poznaniem mię i potem; i uczynił znacznie więcej dla mnie, powołując mię po raz drugi na urząd, niż dając mi go po raz pierwszy. Życzę mu wszystkiego najlepszego i z pewnością, gdyby sposobność się do tego nadarzyła, niema rzeczy, której bym nie poświęcił dla niego, jak to czynię dla siebie samego“.

Jest to aż nadto wyraźne ratowanie swojej dobrej sławy u potomności. Sam filozof miał zresztą zbyt delikatny zmysł moralny, by nie czuć, że można było, a może nawet należało postąpić inaczej, i dlatego poświęca tej chwili życia swego osobną uwagę, nacisk kładąc na położenie wyjątkowo przykre, w jakiem się wówczas znajdował. „Widok własnego domu“ był mu „straszny“; on, zawsze tak gościnny, był zmuszony prosić o schronienie dla swej rodziny; a była to rodzina „tułacza“, bo, iż pochodziła z miejsca zarazy, przeto stała się „postrachem“ dla najbliższych przyjaciół „i dla siebie samej;“ musiała zmieniać miejsce pobytu, „skoro tylko kogo palec zabolał“, bo „wszelką chorobę miano wtedy za dżumę“. „Wszystko to, powiada filozof, znacznie by mię mniej wzruszało, gdybym nie musiał odczuwać nędzy cudzej i służyć przez sześć miesięcy za nieszczęsnego poprzednika onej karawanie“. Śmierć z tej choroby nie wydaje mu się „jedną z najgorszych; jest zazwyczaj krótka, bez cierpienia, bez ceremonii, bez żałoby, a pociesza tu dola powszechna“. Sam myśliciel zresztą „nosi w sobie swoje środki ochronne, którymi są męstwo i cierpliwość“. A uczy go tych cnót nietylko jego filozofia, ale i przykład prostego ludu, który z fenomenalną obojętnością „gotował się i czekał na śmierć do dziś wieczora, do jutra z obliczem i głosem tak mało przerażonym, że zdawało się, jakby się

dobrowolnie poddawali tej konieczności i jakby to już był wyrok powszechny, nieunikniony..., choć umierają w jednym miesiącu dzieci, młodzi, starcy, już się nie przerażają ją, już się nie opłakują. Widziałem takich, co boją się pozostać w tyle, jakby w jakiejś okropnej samotności; nie znali innej troski, jedno o pogrzebanie; przykro im było widzieć ciała, rozrzucone po polach na pastwę dzikich zwierząt, od których się roiło... Jeden, zdrowym będąc, kopał sobie już grób swój; inni kładli się weń jeszcze żywi; a jeden z moich robotników, umierając, przygarniał ziemię na siebie". Przypomina się analogiczny obraz dżumy we Florencyi, skreślony przez Boccaccia; jednak ten jako Włoch-artysta, przedstawia z całym realizmem niejako zewnętrzną stronę rzeczy, podczas gdy Montaigne-myśliciel uderzony jest więcej fenomenami natury psychicznej. Oba obrazy są w swoim rodzaju klasyczne.

Pół roku trwała zaraza; po jej wygaśnięciu dopiero Montaigne wraca do swej biblioteki, do swych dobrych przyjaciół, książek. Udało się skonstatować, że, jak dawniej Cezar, tak teraz więzi jego uwagę Tacyt; jak go czyta, dowodzi powiedzenie, że „jest to książka nie do czytania, ale do studyowania i do nauki". Studyuje też i męczy się filozof z właściwą sobie ciekawością i zapałem. Szkoda tylko dla nas, Polaków, nie mała, że dzieje Polski, które go widocznie zajmowały, poznaje z dzieła bardzo małej wartości. Polska go zaś bardzo interesuje, zapewne ze względu na króla Henryka III (naszego Walezego), który zasiadał na tronie polskim. Obok książek zaś przetrawia filozof wrażenia z podróży i cenne obserwacye życiowe, jakich nie poskąpiło mu kilkoletnie urzędowanie; jedno i drugie dostarcza mu obfitego materyału do nowego wydania „Szkiców", które, jak wspomniałem, zostają w dwójnasób rozszerzone. Pod względem estetycznym harmonia całości na tem traci; ogromne ustępy nowopowstałe rozsadzają jeszcze bardziej i tak nie bardzo spoiste rozdziały pierwszego wydania. Nadto „ja" pisarza zajmuje tu znacznie więcej miejsca. „Przychylność publiczna dała mi trochę więcej śmiałości", wyznaje sam. A to „ja" to już nie tylko „ja" ogólnoludzkie, nie tylko studyum tego, co w Montaigne'u jest ludzkiem — *humanum,* ale tym razem to już znacznie częściej, niż w wydaniu pierwszem, „ja" indywidualne, ściśle osobiste, aż do szczegółów najbardziej drobiazgowych. I tu zmienia się wyraźnie; od raczej poważnego soliloquium w pierwszej redakcyi przechodzi autor teraz do poufałej pogawędki z czy-

telnikiem: „Mówię do papieru, jak mówię do pierwszego lepszego kogo spotykam“. Znaczy to wszystko, że pisarz jest pewniejszy siebie, wartości swojej i swego dzieła. Bardzo też mu spieszno rzecz dać do druku, i już w r. 1588 jedzie w tym celu do Paryża.

Że w drodze napadają go stronnicy Ligi, a w samej stolicy zostaje uwięziony, zresztą na kilka godzin tylko, i za wstawieniem się osób wpływowych natychmiast puszczony na wolność: to drobiazgi, w tych burzliwych czasach zgoła nieznaczne. Odważniejsze to, iż tu, nad Sekwaną, poznał swoją wielbicielkę, pannę Maryę Le Jars de Gournay. Jak przyjaźń ze sympatycznym La Boétie, tak ten stosunek pięknego duchowego pokrewieństwa dodaje dużo wdzięku życiu filozofa i jego charakterowi, jak niemniej tej ciekawej „córce przymierza“, jak ją będzie nazywał autor „Szkiców“.

Urodziła się panna de Gournay w r. 1565; mogła była więc co do wieku, jak sama zauważa, być i rzeczywistą córką wielkiego pisarza, który w tymże roku wstępował w związki małżeńskie. Rodzina to była stara, szlachecka, ale skutkiem wczesnej śmierci ojca musiała matka ze sześciorgiem małoletnich dzieci usunąć się na zapadłą prowincyę, by łatwiej, to jest taniej wyżyć. Mała Marya przez matkę uważana była za „dziwaczkę“ i „niemądrą“, ponieważ okazywała wielki zapał do nauki, do literatury i to poważnej, tej, co to każe myśleć i uczy myśleć. Kształciła się sama, ukradkiem; nauczyła się w ten sposób języka łacińskiego, a nawet greckiego.

Pewnego razu wpadło jej w rękę dzieło Montaigne'a, i obudziło od razu zachwyt bez granic, a nadto „uwielbienie dla autora i jakieś jakby osobiste uczucie przywiązania i pragnienie poznania go, które to uczucia musiały być silne, skoro na wieść (na szczęście fałszywą) o śmierci Montaigne'a „doznała niezmiernego bolu i wydało jej się, że cała sława, szczęście i nadzieja wzbogacenia swej duszy zostały, jako trawa, skoszone utratą rozmowy i obcowania z takim umysłem“. Sama to opowiada we wstępie do jednego z wydań „Szkiców“. To też radość jej była wielka, gdy dowiedziała się, że uwielbiany pisarz żyje, a nawet ma być w Paryżu. Pospieszyła więc wyrazić mu swe uczucia, a filozof mimo zarzekania się uczuć bardzo silnych odpowiedział zupełną wzajemnością, taką, jaką kiedyś darzył przyjaciela La Boétie. Już do sześćdziesiątki zbliżający się myśliciel uczuł się mniej samotnym w świecie i w życiu, widząc, że po niezapomnianym przyjacielu

znalazł na późne lata nową przyjaźń, równie czystą, oddaną jak tamta, że ta „córka przymierza“ będzie stała na straży jego pamięci i po śmierci. To też podczas gdy jeszcze w wydaniu z r. 1588 skarży się autor „Szkiców“ nie bez pewnej melancholii, wspominając przyjaciela, że nie pozostawi po sobie nikogo tak oddanego i rozumiejącego jego duszę, w następnem wydaniu, a więc po poznaniu panny Gournay, ten ustęp opuścił.

Filozof odwiedzał nawet parokrotnie swą przyjaciółkę na wsi, gdzie spędził trzy miesiące na rozmowach miłych, prawdziwie filozoficznych, których echo znajdujemy w dziele panny Gournay, pt.: *le Proumenoir de M. de Montaigne*, gdzie też entuzyastka dla autora „Szkiców“ tłomaczy się ze swych uczuć dla niego: „Zaprawdę jeśli kto zdziwi się, jakim sposobem, choć nie jesteśmy ojcem i córką, jedno z tytułu, przecie ta łącząca nas życzliwość przechodzi tę, która łączy prawdziwych ojców z dziećmi, to powiemy mu, że natura przyznaje sobie berło między zwierzętami, ale między ludźmi winien je dzierżyć rozum. Dlatego to przywiązania naturalne często chybiały, bracia z sobą walczyli, a nawet ojcowie z synami. Ale to tak święte umiłowanie Fintiasa i Damona, których dobrał rozum zasługą ich upodobania wzajemnego i ich cnoty, to pozostało niezachwiane. Do przyjaźni wejść trzeba przez bramę cnoty, jeśli chce się być pewnym, że się zeń wyjdzie dopiero przez bramę śmierci“.

Rysy tej sympatycznej osoby z wiekiem się zaostrzają, a dożyła ona blisko 80-ciu lat! Jej obrona Montaigne'a przybierała formy trochę surowe i krytyków, którzy śmieli wogóle co zarzucić „Szkicom“ zwała „bezczelnymi«; pisała traktaty polemiczne, a także moralne nie bez wartości; była przedmiotem złośliwych uwag w świecie literackim; ale miano z tem wszystkiem respekt dla jej rzetelnej wiedzy i inteligencyi, a zwłaszcza dla jej charakteru na wskroś prawego [1]); garnęły się do niej najtęższe umysły epoki; a nie do pogardzenia też tytułem do sławy panny de Gournay będzie, że w jej to salonie i z jej uczestnictwem odbywały się pierwsze posiedzenia powstającej właśnie Akademii Francuskiej.

---

[1]) Jeden z bywających u niej wyraża się tak: „Ta dobra panna, którą zawsze bardzo ceniłem, i którą odwiedzałem często w jego domu, miała duszę czystą i szlachetną. Jej piękność była raczej pięknością umysłu, niż ciała“. (Cyt. Stapfer, o. c. str. 228).

Ale, rzecz jasna, imię tej niepospolitej kobiety związane będzie przedewszystkiem z imieniem Montaigne'a i dzięki jemu przetrwało do naszych czasów, jak imię La Boétie'go. W „Szkicach" poświęca myśliciel pełen ciepła ustęp tej przyjaciółce swych ostatnich lat życia; zwie ją tam swą „córką przymierza" i „z pewnością ukochaną więcej, niż po ojcowsku": „stanowiła ona w mojem zaciszu i samotności jakby jedną z najlepszych cząstek mojej własnej istoty: ją jedną już tylko widzę na świecie"; podziwia w niej „ową doskonałą, wielce świętą przyjaźń, o której nie czytamy, by jej płeć była do niej zdolna"; filozof pragnąłby tylko, „by ją mniej boleśnie dręczyła obawa mej śmierci ze względu na te 55 lat, w jakich mię spotkała". (II, 17).

Z ostatnich lat życia mamy jeszcze do zanotowania dwa charakterystyczne listy filozofa do króla Henryka IV, który zaprosił autora „Szkiców" na swój dwór, obiecując nawet, jak się zdaje, znaczne materyalne korzyści. Odpowiedź wypadła odmownie, a jest niepozbawiona tonu pewnej wyższości obok winnego respektu dla króla: „Wasza Kr. Mość — czytamy tam między innemi — zechce mi łaskawie wierzyć, że nie pożałuję nigdy mojej sakiewki w okolicznościach, w których nie chciałbym oszczędzać mego życia. Nie otrzymałem nigdy żadnych dóbr od wspaniałomyślności królów, ani też prosiłem o nie, ani na nie zasłużyłem, i nie otrzymałem żadnej zapłaty za kroki, jakie uczyniłem w ich służbie, a które po części były WK. Mości wiadome. Co uczyniłem dla Jego poprzedników, uczynię jeszcze znacznie ochotniej dla Niego. Jestem, N. Panie, tak bogaty, jak sobie życzę. Gdy wyczerpię mą sakiewkę przy osobie Króla w Paryżu, to będę tak śmiały i powiem Mu to, a wtedy,. jeśli król uzna mię godnym pozostania dłużej u Jego boku, to wypadnie Mu to taniej, niż najniższy z jego urzędników". Tak przemawia człowiek świadom swojej wartości. Drugi list w odpowiedzi na (zaginiony dziś) list króla zawiera rady u progu panowania i pokazuje duszę i serce Montaigne'a z najpiękniejszej jego strony: „Skłonności ludów kierują się falowo. Jeżeli sympatya raz się zwróci na korzyść WK. Mości, to już własnym rozpędem poniesie się aż do skutku". Uwaga ta, bardzo trafna, spełniła się, jak wiadomo, w całej pełni; wypowiedziana jednak była w pierwszych dniach nowego panowania, kiedy i w sercu króla pewnie była niejedna obawa o przyszłość. Dalej Montaigne wyraża delikatnie życzenie, aby żołnierze królewscy „w pełni zwycięstwa"

traktowali buntowniczych poddanych z większą względnością, niż ich opiekunowie, radzi też królowi okazać im „opiekę ojcowską i prawdziwie królewską“ i uzasadnia to uwagą ogólną: „Zawsze się to widziało, że, gdzie podbój z powodu ogromu i trudności nie mógł się dokonać bronią i przemocą, tam dokonał się łagodnością i wspaniałomyślnością, znakomitą przynętą do pociągnięcia ludzi, zwłaszcza ku stronnictwu słusznemu i prawnemu“. Następuje piękne życzenie „szczęścia bardziej trwałego i mniej niepewnego“, oraz „by W. Kr. Mość trafiła raczej miłość, niż obawę u swych ludów“; wreszcie podziękowanie za względy i życzenie, by króla mógł w Paryżu jaknajprędzej powitać.

To życzenie jednak się nie spełniło; gdy Henryk IV wkraczał do stolicy, Montaigne już nie żył. Mimo bardzo wielkiego starania o swe zdrowie zapadał on coraz częściej i bardziej. Pociechą mu była książka, która, jeśli komu, to temu filozofowi była najlepszą przyjaciółką, a także własne dzieło, które z przyjemnością odczytywał z piórem w ręku, poprawiając je, pogłębiając, dodając na marginesie uwagi, które szczęśliwie nie zaginęły dla potomności, bo zużytkowane zostały przez wydawców po śmierci autora, od jego „córki przymierza“ aż do naszego prawie — rodaka, Fortunata Strowskiego, któremu miasto Bordeaux poruczyło wydanie w całości drogocennego manuskryptu, będącego własnością tego miasta [1]). Urozmaicał sobie też Montaigne ostatnie lata zajęciami gospodarskiemi, które niebardzo lubił; owszem pragnął znaleźć zięcia, któryby tego ciężaru mu ulżył; niestety zięć ten, niejaki pan de La Tour, poślubiwszy ukochaną jedynaczkę filozofa w r. 1590, nie pozostał u teścia, ale wrócił na stały pobyt do Saintonge. Ostatnią pociechą rodzinną było dla Montaigne'a przyjście na świat wnuczki z tego małżeństwa w r. 1591,

Śmierć miała przyjść w rok potem, dnia 13 września 1592. Mamy o niej aż trzy relacye, niestety pochodzące od osób, które nie były przy zgonie filozofa obecne. Jeden z wielbicieli pisarza opowiada, że umierał on „filozofując między gwałtownościami bolu aż do śmierci, nawet w śmierci samej (Florimond de Raymond), drugi, bliski przyjaciel Montaigne'a, Piotr de Brach, opowiada w stylu patetycznym, że filozof wyraził przed śmiercią żal,

---

[1]) Pierwszy tom tej *édition de Bordeaux* ukazał się tuż przed wybuchem wojny.

iż „nie ma nikogo przy sobie, przed kimby mógł rozwinąć ostatnie myśli swej duszy". „Chciał on — mówił dalej — uczynić jako lampa, która gotowa właśnie zgasnąć, wybucha i daje żywsze światło. Wierzę temu z doświadczenia: bo gdyśmy byli razem w Paryżu przed kilku laty, i gdy lekarze zwątpili o jego życiu, a i on sam już tylko końca swego oczekiwał, widziałem wtedy, jak wobec śmierci, zaglądającej mu w oczy, z pogardą odtrącał lęk, jaki ona zwykle z sobą przynosi. Jakież piękne zdania rozwinął on wtedy dla zanotowania ucha, jak piękne nauki dla nauczenia duszy mądrości, jaką męską odwagę, zdolną umocnić w najtrwożliwszych!" Jest jednak trzecie świadectwo, wiarogodniejsze, jak się zdaje, dla prostoty i realizmu w szczegółach, o których trudniej przypuścić, by były zmyślone. Otóż według Stefana Pasquier'a Montaigne był przed śmiercią dotknięty paraliżem języka, tak, że przez całe trzy dni pozostał z pełną świadomością, nie mogąc mówić, z powodu czego był zmuszony uciekać się do pióra, by wyrazić swą wolę. A gdy czuł nadchodzący koniec, prosił na kartce swej żony, by wezwała kilku ze szlachty, sąsiadów jego, aby się z nimi pożegnać. Gdy ci przyszli, kazał mszę odprawić w swoim pokoju, a gdy kapłan doszedł do Podniesienia Ciała Pańskiego, wtedy ten mały [1]) szlachcic rzuca się, o ile mu ból na to pozwala, jakby na oślep na swoje łóżko ze złożonemi rękoma i w tym ostatnim akcie oddał ducha swego Bogu.

---

[1]) Montaigne był bardzo małego wzrostu, z czego był niekontent; ten szczegół, jak i poprzednie, czynią tę relacyę wiarogodniejszą od tamtych, gdzie musi sceptycyzm budzić choćby taki żal umierającego, iż nie ma przed kim swych myśli rozwinąć; toż to formalna impertynencya pod adresem obecnych, a zwłaszcza kochającej żony, która nie musiała być niezdolną do rozumienia męża-filozofa, skoro czuwała nad ostatecznem wydaniem jego dzieła, a nie chcąc się rozstać z cennym i drogim sobie rękopisem, kazała go starannie przepisać i tę kopię dopiero posłała pannie de Gournay, która w Paryżu miała się wydać. Na nagrobku męża wypisała te słowa: Franciszka de la Chassaigne... wystawiła ten pomnik ku pamięci tego męża godnego żalu i żałowanego. Nie miałem innej małżonki; ona nie będzie miała innego męża". (Cyt. Stapfer, o. c. str. 75). Istotnie też za mąż drugi raz nie wyszła, jakkolwiek żyła jeszcze 35 lat (umarła r. 1627).

M. Paciorkiewicz.

Notatki.

Wychodzące w Piotrkowie „Wiadomości Polskie“ mają lepszy, niż inne nasze pisma, dostęp do prasy zagranicznej, informują też o jej zapatrywaniach swoich czytelników. Zadanie to spełniają dość jednostronnie. Główną ich funkcyą jest wychwytywanie głosów nam nieprzychylnych w prasie państw zachodnich. Niechaj tylko jakieś prowincyonalne pisemko w rodzaju „Aberdeen Free Press“ napisze coś o Polsce mniej przychylnego, natychmiast znajdzie się ten głos na łamach „Wiadomości Polskich“, obszernie streszczony. Natomiast pomija się bardzo wiele wystąpień prasy, traktującej energicznie problem polski, chociaż ta prasa reprezentuje zarówno przekonanie czynników rządzących i opinii publicznej, co zresztą w Anglii jest jedno i to samo. Istnieje tam poza tem parę pism pacyfistycznych i skrajnie opozycyjnych wobec rządu; takiem jest np. tygodnik „Nation“. Przemawiając za rychłym pokojem, ma to pismo kłopot ze sprawą polską, nic dziwnego, że nie zajmuje stanowczego w niej stanowiska. Dzięki „Wiadomościom polskim“ po prasie pokrewnej im duchem rozchodzą się te głosy, jako rzekomy głos „poważnych“, „wpływowych“, „blisko rządu stojących“ sfer angielskich.

Czasami niepodobna przemilczeć niektórych faktów. Niepodobna zataić, że np. Biuro Reutera rozsyła następującą urzędową depeszę: „Hr. Władysław Sobański został powiadomiony przez *Foreign Office*, pismem, w którem minister Balfour podaje mu do wiadomości, jako przedstawicielowi w Londynie Polskiego Narodowego Komitetu, że „rząd J. Królewskiej Mości dał instrukcye swemu agentowi w Kijowie, aby oddał deklaracyę, nieuznającą pokoju zawartego między Austryą a państwami centralnemi“,

i w którem go powiadamia, że „Wielka Brytania nie uzna żadnego pokoju, w którym jest mowa o Polsce, bez zasięgnięcia wpierw zdania tego kraju". „Wiadomości Polskie" uznają ten fakt za korzystny, ale kładą go na karb... „dorywczości i chwilowego oportunizmu w sprawie polskiej ze strony angielskiej". Wogóle stawiają one bardzo wysokie wymagania moralnym pobudkom angielskiej polityki. Omawiając stanowisko innych państw, podkreślają z uznaniem, że rządzą się one własnym interesem w kwestyi polskiej i że to jest rzecz najbardziej prawidłowa. O Anglii natomiast piszą z przekąsem: „Prasa rządowa i szowinistyczna broni praw Polski do Chełmszczyzny, ale w jedynym celu: kucia z krzywdy Polski broni na nieprzyjaciół Anglii". Niewiadomo, czy obrona praw polskich do Chełmszczyzny jest specyficznym objawem angielskiego szowinizmu i niewiadomo, co w tem jest zdrożnego, że ktoś ujmuje się za naszą krzywdą, działając w swoim własnym interesie.

Szczytem wszystkiego jest jednak recenzya z pracy wybitnego angielskiego statystyka, Geoffreya Dragea, wydanej pod tytułem: „Statistics of Poland and Lithuania". Robiąc różne zarzuty tej pracy, pisze recenzent „Wiadomości Polskich" w ten sposób: „Zarówno w częściach ogólnych, jak i w ekonomicznej uderza tendencyjne traktowanie kwestyi Poznańskiego. Czytelnik obcy nie oprze się stanowczo wrażeniu, że Poznańskie jest ośrodkiem polskości, rdzeniem Polski i warunkiem *sine qua non,* aby Polska mogła wogóle dać sobie radę. Nawet mapy są pobieżne i małego rozmiaru, podczas gdy mapa Poznańskiego jest o wiele większa i bardzo szczegółowa".

Jest zupełnie wyraźnem, że recenzent „Wiadomości Polskich" jest niezadowolony z takiego traktowania Poznańskiego. Zapewne jego zdaniem p. Geoffrey Drage lepiejby zrobił, gdyby poszedł w ślady p. Mieczysława Szerera, który w publikacyi wydanej nakładem N. K. N., a drukowanej przedtem w „Polen" poświęconej statystyce Polski, pominął zupełnie Polaków pod pruskiem panowaniem. P. Szerer był widocznie mniej tendencyjny, niż Geoffrey Drage. Ale jakie fatalne skutki wynikają z tendencyjności tego ostatniego? Oto czytelnik obcy, o zgrozo, gotów przypuścić, że Poznańskie jest „ośrodkiem polskości, rdzeniem Polski"; gotów dojść do tak horendalnego wniosku politycznego, że ten kraj ma istotne znaczenie dla odbudowy Polski, że tylko w związku z nim

„Polska da sobie radę“. Szczególnie szkodliwa zdaje się być ta „bardzo szczegółowa“ mapa Poznańskiego.

Streszczając pracę Drage'a, zaznacza recenzent: „Ciekawem jest postawienie teoryi samostarczalności gospodarczej Polski zjednoczonej, przyczem Litwa i Ukraina traktowane są właściwie łącznie i jako prowincye bezsprzecznie nasze i należące do Korony Polskiej“. Nie może więc zrobić autorowi zarzutu, by nas gdziekolwiek okrawał. Mimo to, przyznając naukowe zalety pracy, stwierdza, że ona „pod względem politycznym i historyozoficznym dużo pozostawia do życzenia“. Czyżby „Wiadomości Polskie“ tak się przyzwyczaiły i oswoiły z okrawaniem Polski, że traktowanie jej w najszerszych granicach uważają za błąd polityczny, nawet u obcego pisarza?

* * *

Przed kilku dniami odbyły się na terenie Królestwa Kongresowego (już nie całego) wybory do Rady Stanu. Wybory te przyniosły około $^{3}/_{4}$ mandatów zwolennikom Międzypartyjnego Koła Politycznego; jedna czwarta przypadła aktywistom i żydom. Stało się tak mimo zasady proporcyonalności, zastosowanej przy wyborach. Przepadli wszyscy niemal przywódcy „aktywizmu“, znani z różnych dyplomatycznych podróży: ks. Maciej Radziwiłł, hr. Ronikier, W. Rostworowski. Wyborami temi zainteresował się „Czas“ krakowski. Gdyby jego redaktorzy mogli byli funkcyonować w Królestwie jako komisarze wyborczy, może byłby inny wynik. Zastosowanoby wypróbowany galicyjski aparat wyborczy. Ale niestety specyaliści od wyborów marnują niewyzyskane swoje talenty w Galicyi. „Czasowi“ nie pozostaje nic innego, jak przynajmniej ukryć prawdziwy wynik wyborów, jeżeli już nie mógł wpłynąć na ich przebieg. Zapewnia z zimną krwią, że te wybory oznaczają właściwie zwycięstwo aktywizmu, że wybrano 40% aktywistów, że w okupacyi austryackiej, w której Sejmiki powiatowe bezpośrednio pochodzą z wyborów, wybrano aktywistów dwie trzecie itd. „Czas“ widocznie nie liczy się z tem, że będzie czytał to pismo ktokolwiek, znający faktyczny stan rzeczy.

Ale o to już mniejsza. Ważniejsza rzecz ta, że aktywiści warszawscy znaleźli sobie bardzo łatwą pociechę — licząc na poparcie Rady Regencyjnej, powiadają w ten sposób: nie weszliśmy

do Rady Stanu z wyborów, wejdziemy z nominacyi! Nie wiemy, jak ostatecznie postąpi Gabinet ministrów i Rada Regencyjna, czy istotnie osłodzą aktywistom w ten sposób przegraną, ale istnieje niewątpliwa tendencya, by w ten sposób postąpić. Otóż jest to tendencya zupełnie błędna, wnosi ona rozkładowe pierwiastki w młode życie publiczne Królestwa kongresowego.

Można się wogóle bardzo sceptycznie zapatrywać na zasadę nominacyi, stosowaną do ciała reprezentacyjnego, które ma być surogatem Sejmu. Ale ostatecznie niech i tak będzie. Niechaj władze rządowe same w części powołają organ, powołany do sprawowania nad niemi kontroli. A wtedy nominacya powinna powoływać ludzi, którzy z jednej strony mają zaufanie poważnych sfer społeczeństwa, z drugiej strony reprezentują wysokie osobiste i fachowe kwalifikacye. Nominowanie członków Rady Stanu powinno się liczyć z wynikami wyborów, ale nie w tak opaczny sposób. Jeżeli przepadłych kandydatów wyborczych uważa się za najodpowiedniejszych kandydatów do nominacyi, to ta cała rzecz mówiąc delikatnie, robi bardzo dziwne wrażenie. Powstaje w ten sposób sielanka, nieznana nigdzie we współczesnem życiu politycznem. Kandydaci wyborczy nie potrzebują się denerwować o wynik głosowania. Jeśli przepadną — i tak wejdą do Rady Stanu. Ale wątpić można, czy ta dobrotliwa metoda władzy zwierzchniej jest politycznie wskazaną. Czynnik taki, jak Rada Regencyjna, powinien unikać pozorów, że wchodzi zbyt silnie w wewnętrzne antagonizmy społeczeństwa. A tymczasem powoływanie ludzi, co do których opinia publiczna wyraźnie wypowiedziała się w sposób ujemny, nie dodaje powagi tamtej instytucyi. Pod wrażeniem aktu chełmskiego Rada Regencyjna uznała zasadę, że władza jej nie pochodzi od narodu. Jeżeli ta zasada nie jest pustym dźwiękiem, to ona pociąga za sobą ważne konsekwencye. Nie chcemy twierdzić, że dzisiejsza Rada Stanu może stać się wiernym zupełnie wyrazem całej polskiej opinii politycznej. Wiemy dobrze o tem, że silne grupy polityczne nie biorą udziału w wyborach, że między uczestniczącymi w nich żywiołami panuje znaczny sceptycyzm co do sposobu działania i żywotności Rady Stanu. Ale w każdym razie ci panowie, którzy przepadli przy wyborach do Rady Stanu, mogli tylko w tych warunkach wysuwać swoje kandydatury; o wybraniu do ciała, opartego na szerszych podstawach nie mogli na-

wet marzyć. Są więc wyraźnie zdezawuowani przez opinię publiczną.

Jeżeli więc nominacya do Rady Stanu wysunie ich na powierzchnię, to ten fakt nie przysporzy im jeszcze zaufania publicznego. Może tylko podkopać zaufanie i zaostrzyć krytycyzm w stosunku do tych czynników, które rozstrzygają w części o składzie Rady Stanu. Pod względem politycznym nie cieszą się one nadmiernem uznaniem. Jeżeli będą usiłowały w sposób sztuczny stwarzać pozory siły, jeżeli swoich najbliższych będzie się wysuwać na stanowiska, na których nie jest rade widzieć ich społeczeństwo, to wtedy rozdźwięk między niem a przypadkową jego reprezentacyą jeszcze bardziej się zwiększy. Może też nabrać i społecznego zabarwienia, w społeczeństwie może podnieść się agitacya przeciw rządom nielicznej warstwy, która lekceważy sobie ogół. Nie są to niebezpieczeństwa, które specyalnie dzisiaj możnaby bagatelizować.

*
* *

Okupacya wojenna w krajach, które dotychczas nie miały samodzielności państwowej, wytwarza pewne formy życia politycznego, wykazujące wielkie wzajemne analogie. Wydawać by się mogło, że warunki bytu Królestwa Kongresowego, Litwy, Inflant, Estonii, Flandryi są dość rozbieżne, rozbieżne też i tendencye polityczne ludności tych krajów. Mimo to w ciągu obecnej wojny zjawił się w nich wszystkich ruch, zwany „aktywizmem". Nazwa ta zjawiła się w różnych krajach zupełnie niezależnie od siebie. Ale istnieje nietylko wspólność nazwy, także sam ruch polityczny wykazuje mocne podobieństwa. Ma się wrażenie, jak gdyby ukryte jego sprężyny działały według jednego „schimmla" — jeżeli wolno użyć tego podstawowego pojęcia w życiu urzędniczem. Analogie są tak wyraźne, że w tych krajach, w których aktywizm dopiero się budzi, w których okupacya jest świeżej daty, można już z dużem prawdopodobieństwem przewidzieć dalszy obrót wypadków.

Najpierw powstaje stronnictwo, albo grupa osób, która liczy wiele na okupacyę, spodziewa się, że dzięki poparciu okupanta budowa własnego państwa pójdzie w bardzo szybkiem tempie. Te „aktywistyczne" żywioły nie są popularne w swojem własnem społeczeństwie. Bardzo często ściga je powszechna niechęć, nawet nienawiść. Ale pocieszają się one tem, że sukcesy ich polityki

potrafią przejednać nawet nieprzejednanych, a zresztą liczą wiele na uchwycenie władzy, dzięki czemu potrafią poskromić malkontentów. Prowadzą też gwałtowną agitacyę za porozumieniem z okupantem, starają się przedstawić go w jak najlepszem świetle, usprawiedliwić wszelkie dolegliwości okupacyi. Tworzy się cały szereg „aktywistycznych" stronnictw, powołuje się do życia różne powiatowe i prowincyonalne wielkości, które „opowiadają" się stanowczo za budową własnego państwa przy boku okupanta.

Po pewnym czasie nadchodzi punkt kulminacyjny tej całej roboty. Oto wyjeżdża zwykle (jak w Królestwie Kongresowem, we Flandryi i na Litwie) deputacya do Berlina, jako rzekoma reprezentacya miejscowej ludności. Zostaje przyjęta na różnych posłuchaniach i przywozi z sobą zapowiedź utworzenia jakiejś „Rady" — czyto Rady Stanu, czy krajowej Rady Litewskiej, czy Rady Flamandzkiej. Rada ta budzi wielkie nadzieje w obozie aktywistycznym. Jedni widzą w niej zawiązek przyszłego Sejmu, inni prowizoryczny gabinet ministrów — wszyscy spodziewają się, że w krótkim stosunkowo czasie obejmie ona zwierzchnictwo nad życiem państwowem kraju i zredukuje do minimum rządy okupacyjne.

Ale te nadzieje okazują się czemś zawodnem. Rada nie bardzo nawet jest powołana do radzenia nad losami kraju. Zapadają najważniejsze decycye, nikt się nie pyta o jej zdanie. Tam, gdzie zapowiedziano oddanie jej administracyi, idzie to bardzo wolno i ciężko. A przedewszystkiem istnienie i rozwój tych „Rad" nie ma najmniejszego wpływu na układ stosunków okupacyjnych. Rekwizycye trwają nadal, jak i przedtem trwały. Dolegliwości stanu wojennego coraz bardziej dają się we znaki, zamiast się zmniejszać. Ludność widzi, że za przedstawicielkę jej podaje się jakaś Rada, która nie umie jej obronić przed elementarnemi krzywdami. Widzi szalony rozdźwięk między różnemi deklaracyami aktywistów na temat niepodległości, a szarą rzeczywistością, w której nawet lokalne swobody są skrępowane. Bardzo często w tych warunkach dawna niechęć lub spokojne wyczekiwanie zamienia się w uczucie oburzenia przeciw pseudo-reprezentacyi. To, co spotkało w królestwie kongresowem Radę Stanu, to jota w jotę, spotyka obecnie Krajową Radę litewską („Tarybę").

Ale tymczasem przychodzi moment, w którym te różne Rady zostają powołane do spełnienia ważnych funkcyi politycznych. Okupant uznaje, że nadszedł czas formułowania celów wojennych,

i wtedy wzywa powołane przez siebie do życia czynniki by określiły w sposób jedynie racyonalny swoją niepodległość, to znaczy by oświadczyły się za oparciem się o niego pod względem politycznym, gospodarczym i militarnym. Chodzi o spłacenie długu wdzięczności wobec tego, który cały aktywizm powołał do życia. Jest to sytuacya bardzo trudna. Aktywiści nie wiele mogą okazać społeczeństwu owoców swojej polityki. Do objęcia władzy przez społeczeństwo jeszcze daleko. A tymczasem wymaga się od nich, by oni w imieniu społeczeństwa już z góry zrzekali się pełnej niepodległości, by zaciągali bardzo ciężkie zobowiązania, nie uzyskując nic wzamian. Ponieważ aktywiści nie potrafią nigdzie w tym kierunku pchnąć całego społeczeństwa, okupant jest niezadowolony z tego, i bynajmniej nie kryje swojego niezadowolenia. Robi zarzuty aktywistom, że go źle informowali o rzeczywistym nastroju społeczeństwa, że go łudzili fałszywymi obietnicami. Rozpoczyna się wtedy zmierzch aktywizmu, gdyż ten żywioł i dla okupanta traci swoje znaczenie; w społeczeństwie wogóle nie miał tego znaczenia. Aktywizm staje się piątem kołem u wozu, o którego potrzebie nikt się nie da przekonać, chociaż to piąte koło kręci się bardzo ruchliwie.

* * *

Długie trwanie wojny wyczerpuje siły duchowe i materyalne całych społeczeństw.

Nie

bierzemy bezpośredniego udziału w wojnie, jako jednolity czynnik polityczny, jesteśmy rozproszeni i poodcinani od siebie, nic dziwnego więc, że trudno nam się zdobyć na taką wartość i spójność duchową, jaką mają inne narody.

o tyle

znów trzeba przestrzedz przed skutkami, które ten stan psychiczny może wywołać w dziedzinie życia politycznego. I my walczymy. choć nie mamy milionowych wojsk na swoje własne rozkazy.

Wszystkie uczestniczące w wojnie narody zdają sobie sprawę z tego, że wiara w zwycięstwo, wiara w powodzenie własnej sprawy jest pierwszym warunkiem zwyciężenia przeciwnika. Wszyscy dziś powtarzają słowa, wypowiedziane przez japońskiego wodza, według których ten

odniesie zwycięstwo, kto potrafi o kwadrans dłużej, niż przeciwnik, wierzyć w to zwycięstwo. Widzimy u państw wojujących poprostu zorganizowaną akcyę szerzenia optymizmu, budzenie pewności w siebie i we własną przyszłość.

Może ktoś wątpić w to, czy w tak realnych rzeczach, jak prowadzenie wojny, potrafi wiara okazać swoją moc cudowną. Może ktoś nawet potępiać łatwy optymizm, który nie chce pogodzić się z faktem że *dulcius est eventus belli*, a uparcie przyjmuje za podstawę swoje własne zwycięstwo. Na to można odpowiedzieć: wiara sama nie przyniesie zwycięstwa. Do tego prócz wiary potrzeba czynów. Ale jedno jest pewnem, że b e z w i a r y, to już stanowczo tego zwycięstwa być nie może. Jeżeli do walki wystąpi optymizm jednej strony z pesymizmem drugiej, zwycięży optymizm. Jeżeli się nie wierzy w powodzenie własnej sprawy, to kto wie, czy nie lepiej złożyć broń odrazu. Człowiek, przeżarty zwątpieniem, będzie działał w sposób nerwowy, nie potrafi w swoich działaniach utrzymać jednej linii, zdobędzie się na czyny połowiczne, a nie potrafi przeprowadzić stanowczych decyzyi. Jego działalność będzie złożona z szeregu odruchów, przeplatanych okresami apatyi.

Puszczyków, którzy szerzą zwątpienie, jest u nas bardzo wielu. Najpierw ta robota rujnująca siły moralne społeczeństwa, prowadzona jest w sposób zupełnie celowy przez pewne grupy polityczne. Przez długi czas szerzyły one fałszywy optymizm. Obiecywały cuda na temat swojego programu. Gdy prysły te nadzieje, gdy zbankrutowała broniona przez nie kombinacya w sprawie polskiej, zdaje się tym czynnikom politycznym, że razem z nimi i cała Polska zbankrutowała. I obecnie utrzymują one, że wszystko jak najgorzej się przedstawia, że trzeba dzisiaj ratować tylko resztki majątku, który nie w całości przypadnie nam, skutkiem naszej lekkomyślności i niedbałości. Ludzie ci malują obecnie przyszłość naszą bardzo czarno. Każą nam rezygnować, każą nam godzić się na wszystko w pokorze, gdyż, ich zdaniem, będzie jeszcze gorzej.

Ale poza tą przejrzystą działalnością polityczną, jest wielu ludzi, których nurtuje pesymizm i którzy wokoło siebie ten pesymizm szerzą, z tego powodu, że zawiodły ich dotychczas żywione nadzieje. Wielu z nich popełnia przytem wielki błąd logiczny. Mianowicie nie umie dostatecznie silnie odróżnić w y n i k u wojny, od jej t r w a n i a. W nadziejach swych przewidywali oni, że wojna

do tego a tego terminu skończy się w ten a ten sposób. Rachuby te zawiodły. Wobec tego popadają w wątpliwość, czy wojna kiedykolwiek skończy się tak, jak oni przewidywali. Zniecierpliwienie trwaniem wojny przenosi się u nich do ich zapatrywań na rezultat ostateczny. Ponieważ wojna nie skończyła się w dwóch lub trzech latach, ludzie, którzy przedtem przewidywali krótsze jej trwanie, gotowi obecnie przypuszczać, że jeszcze mamy przed sobą jej lat pięć lub siedm. Ludzie ci rozumują podobnie jak ten, który oceniając, jak długo może żyć jeszcze śmiertelnie chory, pomyliwszy się parokrotnie co do daty jego zgonu, na tej podstawie przepowiadał, że ten śmiertelnie chory jest zdrowszy niż przedtem, ponieważ żyje jeszcze, choć mu zgon przepowiadano. Gorzej jest jednak, że wielu ludziom dolegliwość długiej wojny przesłania nadzieję dobrego jej końca. Wielu ludzi powtarza sobie, że nie wytrzyma tak długo i wokoło siebie szerzy to zwątpienie.

Otóż jeżeli jednostka chce żyć, musi powiedzieć sobie: wszystko przetrzymam i wszystko zniosę! Tak samo naród, jeżeli chce zachować nie uszczuplone swoje siły, jeżeli chce się uchronić od błądzenia po politycznych manowcach, jeżeli chce przezwyciężyć zabiegi wrogów, którzy mają silne nerwy, musi sobie powiedzieć: wszystko przetrzymam! W przeciwnym razie — wrogowie go przetrzymają.

*
* *

Dzieje państwa ukraińskiego i ukraińskiej niepodległości są bardzo krótkie, mimo to już obfitują w wiele niespodzianek. Gdy z chaosu rosyjskiego przed kilku miesiącami zaczęły nadchodzić wiadomości o ruchu separatystycznym ukraińskim, przyjmowaliśmy sceptycznie te wieści. Ale trzeba było temu uwierzyć, gdy się słyszało o kilku armiach, opanowanych przez Ukrainę, o rozległych dyplomatycznych stosunkach tego nowego państwa, gdy się czytało jego butne uniwersały. Najzawziętszych sceptyków przekonał ten fakt, że dnia 9 lutego został zawarty w Brześciu Litewskim osobny pokój z państwem ukraińskiem. W parę dni potem okazało się, że to państwo nie ma własnej stolicy. Później przychodzi wiadomość, że armia ukraińska dopiero się tworzy, i to nie na terytoryum, na którem miało powstać państwo ukraińskie, lecz w Kowlu, na terenie okupacyi. Po paru miesiącach, gdy z tamtej ziemi przychodzą do nas coraz częstsze wieści, okazało się niewątpliwie,

że niema ruchu ukraińskiego, jako ruchu, obejmującego masy ludności. W anarchi rosyjskiej mogła coś znaczyć każda, drobna nawet, byle jakotako zorganizowana grupa. Ale ani na Ukrainie, ani gdzieindziej w państwie rosyjskiem nie wysunęły się na plan pierwszy antagonizmy narodowe, lecz raczej społeczne apetyty. Pod tym kątem widzenia należy patrzeć na to wszystko, co się dzieje w Rosyi. Co się zaś tam stanie w niedalekiej nawet przyszłości, tego nie podobna przewidzieć.

Jednego uczy nas przykład Ukrainy. Nie powinniśmy działać zbyt pospiesznie. Nie powinniśmy odrazu wierzyć temu, o czem nam donoszą. Nie oznacza to, że mamy się odrazu odnosić wrogo do wszelkich ruchów narodowych. Bynajmniej, niechaj wszędzie znajdzie zastosowanie zasada stanowienia o sobie. Ale nie powinniśmy spieszyć się w uznawaniu faktów, które jeszcze nie dojrzały i raptownie zmieniać naszą politykę. A byli u nas ludzie, których wiadomość o powstaniu Ukrainy, o jej rozmiarach i potędze, do tego stopnia przeraziła, że gotowi byli do jak największych ustępstw na rzecz tego nowego czynnika, byle tylko z nim żyć w zgodzie. Gotowi byli odrazu innem okiem patrzeć na galicyjskich Ukraińców, nie czekając na to, aż ci wobec nas zechcą zmienić swoją politykę. Tymczasem niebezpieczeństwo, jakie nam zagraża od wschodu, objawiło się w innym charakterze. Zostały zrujnowane polskie majątki, rozgrabiona polska ziemia. Ale na całej Ukrainie, jedynym żywiołem, naprawdę narodowo uświadomionym, są Polacy. Oni tam reprezentują istotnie odrębną grupę polityczną i etnograficzną, inne żywioły są w stanie mgławicowym.

Dziwią się zdobywcy, że wszędzie, gdzie się ruszą, natkną na Polaków, gdy tymczasem według map, na których oni się kształcą, polskość kończy się pod Lublinem i Rzeszowem. Myśmy też nieraz nie doceniali siły naszego żywiołu, a przeceniali doniosłość nowotworów narodowych. Skorzystajmy z tych doświadczeń. Nie występując wrogo przeciw czyjemukolwiek rozwojowi narodowemu, liczmy przedewszystkiem na własny rozwój. Umiejmy cenić i używać siły, którą nam daje odwieczna kulturalna praca na Wschodzie.

To też gospodarcza katastrofa, która spotkała żywioł polski na Wschodzie, nie powinna budzić wśród niego idei politycznej

rezygnacyi. Nie wolno ani chronić się pod skrzydła okupanta, wzywać jego pomocy przeciw miejscowej ludności, ani też uznać wszystkiego za stracone i opuszczać w najcięższej chwili rodzinnej ziemi. Gwałtowne burze mijają szybko, czasem nawet małe ślady zostawiają po sobie. Co będzie, gdy znów znajdzie się sposobność do pracy, a najlepszych pracowników nie stanie?

X.

Sprawozdania.

Obrona interesów ekonomicznych Królestwa Polskiego przy zawieraniu traktatów handlowych. Alfred Okołowicz. Wyd. w „Zagadnieniach polskiej polityki gospodarczej po wojnie". Wydawnictwo Biura prac ekon. N. K. N. II. Kraków 1917.

Z pośród kilku prac, zamieszczonych w wymienionem wydawnictwie, wybieramy, jako przedmiot oceny pracę p. Okołowicza, gdyż dotyczy ona sprawy niesłychanie ważnej: ma służyć za podstawę naukowo-statystyczną przy zawieraniu przyszłych traktatów handlowych. Warunki naszego życia nie sprzyjały temu, by zbyt wielu ludzi mogło się poświęcić badaniu związanych z tem zagadnień A tymczasem zaraz po wojnie staniemy wobec niesłychanie trudnych zadań, wymagających wielkiego nagromadzenia materyałów naukowych i gruntownego fachowego przygotowania. To też zasadniczo należy powitać każdą pracę, która idzie w tym kierunku.

Podstawy pracy p. Okołowicza są następujące: „Wychodzimy z założeń, że po wojnie Królestwo Polskie i Galicya będą złączone w jedną całość gospodarczą; że ziemie te w dobie powojennej wejdą w sferę ekonomiczną państw centralnych; że wobec tego, wielki przemysł nasz, prawdopodobnie zostanie podporządkowany interesom tych państw, a co za tem idzie i kompensatą być powinno, że przyszłość kraju leży w intensywnem rolnictwie i w rozwoju przemysłu rolniczego, oraz przemysłu drobnego, ludowego włącznie" (S. 94).

Możnaby pragnąć, by prace, przygotowujące materyał naukowy do przyszłych traktatów handlowych, brały pod uwagę różne możliwe założenia, uwzględniały różne wypadki i odpowiednio do tego przeprowadzały kombinacye statystyczne. Ale trudno, trzeba pogodzić się z tem, że autor uwzglednia tylko jedno założenie. Gorzej jest, że nie pozostaje mu wiernym. Jeżeli bierze za punkt wyjścia połączenie Galicyi z Królestwem, to w takim razie powinien także i Galicyę uwzględnić w swych zestawieniach. A tymczasem jego krótkie uwagi i przedrukowywane przez niego tablice statystyczne dotyczą tylko wytwórczości i warunków gospodarczych Królestwa Kongresowego. Następnie można zakwestyonować, czy jest racyonalnem przyjmowanie nawet dla samego Królestwa Kongresowego tak pesymistycznych przesłanek, z jakich wychodzi p. Okołowicz. Przedmowa do całego wydawnictwa, napisana przez p. Wł. L. Jaworskiego zaznacza: „Życie polityczne stanąć musi w Polsce na silnym zrębie gospodarczej niezawisłości"; a tymczasem p. Okołowicz przyjmuje za punkt wyjścia fakt gospodarczego pod-

porządkowania państwom centralnym. Konsekwencyą tego jest poświęcenie wielkiego przemysłu, istniejącego już w Królestwie, zatrudniającego setki tysięcy robotników. Kompensatę za to widzi w rozwoju rolnictwa i przemysłu rolniczego i przemysłu drobnego!

Zdaje się, że autor zbyt lekko rezygnuje z rzeczy, z których zrezygnować nam trudno. Rozwój rolnictwa nie może być kompensatą za niedorozwój przemysłu, gdyż Królestwo Polskie tylko wtedy wybrnie z niezwykle trudnej sytuacyi gospodarczej, jeżeli równomiernie rozwinie zarówno wielki przemysł, jak i rolnictwo. Jedno i drugie jest potrzebnem do tego, by można mówić o czynnym bilansie gospodarczym. Przemysł żelazny jest konieczny, jako jedna z podstaw politycznej niezależności kraju. A zaś niepodobna usunąć z powierzchni najliczniejszego, mającego najrozleglejsze tradycye eksportowe, przemysłu włókienniczego. Wykazywanie, że w przemyśle, poza przemysłem rolniczym, zatrudnionych było tylko 6·9% ludności Królestwa, nie dowodzi niczego. Sam zresztą autor w parę stron później łagodzi swoje założenie, pisząc: „Wobec istnienia w krajach naszych węgla, rudy, bogactw kopalnych: miedzi, soli i innych, wreszcie wobec uzdolnienia robotnika polskiego, stworzenie możliwie dogodnych warunków dla rozwoju przemysłu jest konieczne". (S. 96).

Byłoby rzeczą pożądaną, żeby u nas zjawiły się prace, poświęcone temu tematowi, omawiające rzecz na podstawie bardziej obfitego materyału faktycznego, i umiejące wszechstronnej i gruntowniej zużytkować materyał naukowy, aniżeli praca p. Okołowicza. Trudno np. uważać, by ze sprawą dostępu do morza można było załatwić się w tak lapidarny sposób: „Jako warunek kardynalny intenzywnego rolnictwa, oraz przemysłu rolniczego, uważamy dostęp do morza bezpośredni, albo też przez zagwarantowaną, na zasadzie taryf ulgowych, komunikacyę zarówno wodną jak i kolejową z portami Bałtyku i Adryatyku". Jak autor z Królestwa Polskiego będzie przewoził towary do Adryatyku drogą wodną, to pozostanie zagadką. *R. R*

* * *

Miasteczko. Zdzisław Dębicki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Smutnym wyrzutem wobec przeszłości, ale zarazem pożyteczną, obywatelską nauką dla teraźniejszości i przyszłości jest praca Z. Dębickiego. W ośmiu treściwych rozdziałach przechodzi on dzieje minione miasteczka polskiego i stan jego obecny, kończąc wskazówkami, czem się ono w przyszłości dla naszego życia narodowego stać winno, gdy je praca nasza z gruzów wojennych odbuduje.

Przesuwa się więc przed oczyma naszemi historya owych drobnych z początku, a jednak z biegiem lat rozwijających się pomyślnie i zdrowo ognisk życia ekonomicznego prowincyi polskiej, kojarzących w sobie styl zewnętrzny, o odrębności Polski na polu architektury świadczący, o rozkwicie polskiego handlu i rzemiosła. Ale ten okres pomyślności mija niestety. Stopniowe, stałe wzmaganie się żywiołu żydowskiego, któremu dopomaga zanik zmysłu obywatelskiego u właścicieli osad miejskich i starostów, rozleniwienie ekonomiczne szlachty, niski poziom kulturalny mieszczaństwa i ludu podcinają byt polskiego miasteczka.

Katastrofa rozbiorowa zastaje je już w stanie upadku. Po rozbiorach jest jeszcze gorzej. Wielki przemysł fabryczny zabija rzemiosło chrześcijańskie znowu na korzyść żydów i ich pozornie tańszej tandety. Przytem ruchliwy kapitał żydowski staje się dla szlachty wiejskiej po wywłaszczeniu źródłem kredytu i pozornego ratunku, co jeszcze stanowisko żywiołu semickiego na prowincyi umacnia. Stacza się więc szybko miasteczko polskie na nizyny bardzo niekulturalne i z biegiem lat staje się ogniskiem, skupiającem w sobie żywioł obcy nam,

Przechodząc do chwili obecnej, podkreśla autor młody jeszcze i niestety przez wojnę w znacznej części stłumiony ruch. do spolszczenia i rozwoju miasteczek naszych zmierzający, zaznaczając rolę, jaką w życiu narodowem odegrać może inteligencya małomiasteczkowa, z jednej strony wieś z tymże miasteczkiem łącząca, z drugiej zaś — stanowiąca stały, zdolny napływ sił młodych do ognisk stołecznych.

Gminie małomiejskiej wyznacza autor w przyszłości bardzo rozległe zadanie. Od wartości i energii ludzi w niej pracujących zależeć będzie przyszłość życia narodowego na prowincyi. Ich najistotniejszym obowiązkiem będzie prowadzenie polityki polskiej, rozwijanej nie pod hasłem narodowej i wyznaniowej walki, lecz w głębokiem poczuciu prawa do budowania własnego jutra „według własnego przekonania i zgodnie z własnem sumieniem polskiem“ i nie dopuszczającej do rozwoju obcych, agresywnych dążeń nacyonalistycznych. Wizyą odrodzonego z upadku, ciemnoty, niechlujstwa i niepolskości miasteczka naszego kończy autor swą pracę, która dziś, gdy się tyle o odbudowie kraju mowi, oby jaknajliczniejszych czytelników znalazła. *M. Dynowska.*

* * *

Zapiski Muzealne. Zeszyt I. Wydawnictwo Towarzystwa Muzealnego w Poznaniu, 1917.

Wydawnictwo powyższe rozpoczęte jest przez „Towarzystwo Muzealne w Poznaniu“. Ma ono na celu zapoznawać szerszą publiczność ze zbiorami, zgromadzonymi w Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu, podawać wiadomości o ważniejszych zabytkach, w ten sposób szerzyć wśród publiczności zamiłowanie do nich i podnosić ogólną kulturę. Wydawcy, jak piszą w przedmowie, zamierzali rzecz całą poprowadzić na większą skalę, przeszkodziła jednak temu wojna. Mimo niej, nie poniechali tego planu i w trzecim roku wojny wzbogacili nasze piśmiennictwo publikacyą, jedyną w swoim rodzaju.

Zeszyt pierwszy zawiera artykuł Dra Bolesława Erzelskiego, o artystycznym puharze cechu szewskiego miasta Poznania z r. 1651, zwanym „Wilkom“, znajdującym się w zbiorach Muzeum. Drugi artykuł, napisany przez Dra Dobrzyńską-Rybicką, p. t. „Z dziejów starych ksiąg“, poświęcony jest wydaniu z roku 1555 dziejów Polski Kromera i innym zabytkom bibliograficznym. Ks. prof. Dr. Dettloff przechodzi do bliższych nam czasów, omawiając w artykule p. t. „Z działu polskiego galeryi Muzeum im. Mielżyńskich szereg obrazów, nabytych przez Muzeum przeważnie drogą darowizn, podkreślając znaczenie gromadzenia zabytków sztuki polskiej przez Muzeum i doniosłość ofiarności publicznej. Cennym przyczynkiem naukowym jest najobszerniejszy ze wszystkich artykuł Dra J. Kostrzewskiego

p. t. „Z badań nad przeszłością przeddziejową Wielkopolski w ostatnich trzech latach“. Otrzymujemy w nim przegląd zabytków archeologicznych z różnych epok, odnalezionych na terenie Wielkopolski. Okazuje się, że dotychczasowe wyniki przypadkowych i świadomie kierowanych odkryć archeologicznych są dosyć pokaźne, mimo braku systematycznych rozległych badań, prowadzonych na większą skalę. Artykuł Dra J. Kostrzewskiego chce zainteresować w tej kwestyi szerszą publiczność.

Wydawnictwo pod względem zewnętrznym robi bardzo dodatnie wrażenie. Z punktu widzenia typograficznego przedstawia się nawet okazale, wielka liczba ilustracyi wykonana jest tak starannie, jak w żadnem innem piśmie polskiem, wychodzącem obecnie. Przedewszystkiem jednak dowodzi bardzo żywego zainteresowania dla przeszłości dzielnicy wielkopolskiej, nawet pietyzmu względem jej zabytków. Jest jednym z coraz liczniejszych objawów, że społeczeństwo polskie pod pruskiem panowaniem nietylko w kierunku politycznego i ekonomicznego odrodzenia zwraca swoje wysiłki; że i w współpracy nad duchową kulturą staje ono skutecznie obok innych dzielnic. Pracy tej ono nie przerwało mimo wszystkich trudności wojennych. Dlatego też warto zwrócić uwagę szerszego ogółu na powyższe wydawnictwo.

*
* *

Przyczyny upadku Polski. Nakład Gebethnera i Wolffa (1918).

Zanim zdołamy omówić obszerniej ten cykl odczytów, wygłoszonych w Krakowie i powtarzanych w innych miastach, ograniczamy się do krótkiej bibliograficznej wzmianki. Odczyty te oświetlają z różnych stron zagadnienie upadku Polski. Łącznikiem między autorami jest temat, a nie bezwzględnie jednolity punkt wyjścia, choć możnaby u większości z nich ustalić pewne wspólne momenty.

Dr. Fr. Papée daje pogląd na „Zapatrywanie dotyczasowe“ na przyczyny upadku Polski u obcych i polskich pisarzy; Dr. E. Romer zajmuje się „Warunkami geograficznzmi“, stara się udowodnić, że Polska była jednością geograficzną; Dr. O. Halecki zajmuje się jednym specyalnym tematem, często jednak obecnie omawianym, mianowicie naszą „Ekspanzyą i tolerancyą“; Dr. Fr. Bujak „Siłami gospodarczemi“, Dr. St. Kutrzeba „Siłami państwowemi“, dając charakterystykę państwowości polskiej; J. Kallenbach „Siłami moralnemi i umysłowemi“, skupiając główną uwagę na dobie upadku. Charakterystykę sposobu prowadzenia „Polityki zagranicznej“ daje Dr. Wł. Konopczyński; tenże autor omawia specyalnie warunki, wśród których doszło do pierwszego rozbioru, Dr. Tokarz robi tosamo z drugim i trzecim rozbiorem. Reasumcyą tych odczytów a zarazem samodzielnym problemem poglądów na przyczyny upadku Polski jest odczyt Ign. Chrzanowskiego, drukowany w stczniowym zeszycie „Roku Polskiego“.

Od Redakcyi.

Wszystkich naszych Czytelników prosimy o jak najrychlejsze uregulowanie prenumeraty. Wydając nadal pismo mimo ogromnych trudności wojennych, możemy oczekiwać, że Czytelnicy pójdą nam z pomocą i wypełnią bez zwłoki swoje zobowiązania wobec Wydawnictwa.

Dochodzą nas często drogą pośrednią zażalenia, że pismo nie zawsze dochodzi do rąk Czytelników. Winę ponoszą dzisiejsze warunki komunikacyjne. W każdym razie prosimy o to, aby każdy Czytelnik przysłał natychmiast pisemną reklamacyę, w razie gdy numeru na czas nie otrzyma.
